

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 96.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 15 lipca 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Jan Leon Hippolit Koziatowski (z drzeworytem).— Kronika tygodniowa — Zareczyny staropolskie i tegoczesne (z dwoma drzeworytami).— Pieskowa Skala (z drzeworytem). — Paweł Józef Szafarzyk (wspomnienie ośmiertne). — Hieronim Strojnowski (dokończenie).— Wigry (z drzeworytem).— Szachy.— Rebus.— O wystawie obrazów Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie.— Przegląd piśmienniczy. — Notatki z podróży po europejskiej Turcyi (dalszy ciąg).— Korrespondencya od redakcyi.

Jan Leon Hippolit Koziatowski.

Wiadomo z dziejów, jak wielkie przysługi nieliczne szeregi Polaków oddali konsulowi, a następnie cesarzowi Napoleonowi I w ciągu całego jego bohaterskiego zawodu, i to z t^ęm szczer^ęm poświęceniem, z t^ęm ufnością, która tylko charakterowi polskiemu jest właściwą. Jedną z ważniejszych takich przysług było w wojnie hiszpańskiej wzięcie w^ęwozów Sammo-Sierra; opowiemy więc naszym czytelnikom życie dzielnego dowódcy, który na czele lekko-konnego oddziału wykonał z bohaterską odwagą rozkaz z pozoru niepodobny prawie do spełnienia.

Rodzina Koziatowskich, oddawna osiadła w Czerskiem, od dóbr Koziat wzięła swoje nazwisko i jest gałęzią rodziny Skarbków herbu Habdank. Antoni starosta będziniński i Maryanna Grotowska, córka sędziego rawskiego, byli rodzicami Jana Leona Hippolita i siostry jego, dziś jeszcze żyjącej, Klementyny, pierwszego ślubu Walickiej, a powtórnego kasztelanowej Wichlińskiej, powszechnie cenionej z cnót obywatelskich i rodzinnych matrony. Jan Koziatowski urodził się w Skierniewicach dnia 4 lipca 1781 r. Gdy doszedł do stosownego wieku, rodzice, chociaż jedynaka, oddali do korpusu kadetów, wiedzieli bowiem że krajowi przedewszystkiem wtedy potrzeba było uzdolnionych obrońców. W czasie pobytu w korpusie kadetów, młody Koziatowski doznawał szczególnych względów księcia generała ziem podolskich i syna jego Adama. Po skończeniu nauk, chełwy zasług wojennych umysł młodzieńca rwał się ku legionom zbierającym się we Włoszech; ale ojciec, jakby przewidując przyszłe wypadki, wstrzymywał syna nadzieją, że nieza długo we własnym kraju będzie potrzebny. Sprawdziły się przewidywania. Napoleon I, po świetnym zwycięstwie pod Jeną nad Prusakami, postanowił odłączyć od Prus prowincje polskie. Dnia 3 listopada 1806 r. Dąbrowski i Wybicki wydali do narodu proklamacyą, a 24 listopada Koziatowski, jako podkommendant gwardyi honorowej, zaciągnął się w szeregi. Nauki powzięte w szkole kadetów, zjednały mu odrazu ten stopień. Napoleon w nocy z dnia 18 na 19 grudnia sta-

nął w zajętej już przez wojska Warszawy, postanowił nie tracić czasu i rdać się zaraz na spotkanie wojsk sprzymierzonych. Oddział gwardyi honorowej do którego zaciągnął się Koziatowski, przyłączony został do korpusu marszałka Lannes i dobrze się zaraz zasłużył 24 grudnia pod Nasielskiem, 27 grudnia pod Pułtuskim, 7 lutego 1807 pod Hoff-Lipsztad a nareszcie 8 lutego w pamiętnej bitwie pod Eylau, która kampanią pruską tak świetnie zdecydowała. Koziatowski, w skutek odznaczenia się w tych wszystkich bitwach, 7 kwietnia 1807 roku, to jest w pięć miesięcy po wejściu do wojska, przeznaczony został

poleona, osadzony na tronie hiszpańskim, przybywszy 16 czerwca 1808 roku do Madrytu, musiał z niego 2 sierpnia tegoż roku ustąpić. Naród cały powstał, i ognisko swych działań, pod nazwiskiem junty środkowej, założył w Madrycie. Napoleon poznał, że Hiszpania wymyka mu się z rąk i na czele 200,000 wojska w listopadzie przybył do Vittoryi. W kilku dniach rzeczy przybrały inną postać. Bessiers wziął Burgos, Victor pobił generała hiszpańskiego Blake, dzielni ich generałowie Castanos i Palafox pokonani zostali pod Judelą. Napoleon szedł do Madrytu, aby ognisko rewolucyi stłumić i stolicę odzyskać; ale chcąc zająć Madryt, potrzeba było przejść w^ęwozy Sammo-Sierra, obsadzone działami i dzielnie bronione przez 13,000 Hiszpanów. Naprawdę cesarz kusił się o zdobycie tej fatalnej zapory, naprawdę piechota francuzka, pod okiem swego wodza, starała się przebyć w^ęwóz, a kto wie, czy jeden dzień zwłoki, w którymby Hiszpanie potrafili lepiej oszańcować przejście, nie byłby go uczynił niezdobytym na zawsze. W tak stanowczej chwili dnia 30 listopada 1808 roku Napoleon przyzwał marszałka Berthier i wydał mu rozkaz, aby dla wzięcia armat ustawionych na wzgórzach wysłał będący na służbie szwadron polskich szwoleżerów, liczący 425 ludzi. Pomimo że rozkazy cesarza były zwykle nieodwołalne, Berthier ośmielił się zwrócić jego uwagę, że czyn taki był niepodobni^ęstwem; ale cesarz surowo zmierzł go wzrokiem i rzekł: „Zostaw to Polakom i rób swoje.“

Wtedy marszałek podjechał ku oddziałowi szwoleżerów i zawołał:

— Cesarz wam powierza zdobycie tej pozycyi i pewny jest że ją weźmiecie.

Rozkaz był wyrzeczony, trzeba go było wykonać. Koziatowski, który już pod Burgos spotykał się z Hiszpanami, jako szef szwadronu wyjechał naprzód i krzyknął: „formuj się w czwórki!“ Ale za ledwie żołnierze zdolali się rozwinąć w połowie, gdy przywitał ich grad kartaczy. Poległ oficer Rudowski, i to trochę zmieszalo szeregi; lecz Koziatowski, nie tracąc serca, zakomenderował powtórnie. Myśl że cesarz patrzy na walczących, dodała im odwagi. Tedwen, wachmistrz, wysunął się i zajął miejsce w pierwszej czwórce, obok Krzyżanowskiego. W mgnieniu oka wszystkie

czwórki były gotowe i przypuściły atak w sam środek w^ęwozu.

„Nie slyszalem nic, mawiał Koziatowski, prócz rozkazu Napoleona; nie widzialem nic, prócz dział nieprzyjacielskich wyrzucających na nas grad kartaczy. Działa te musiały być wzięte, choćby przyszło osta-



J. L. H. KOZIATULSKI. (Rys. Dziarkowski z portretu familijnego.)

na szefa szwadronu do pułku lekko-konnego, tak zwanych szwoleżerów. Była to pierwsza nagroda jego odwagi.

Koleją wypadków wojska polskie, dzielące z francuzkami tryumfy i klęski wszystkich wypraw, przetruczone zostały do Hiszpanii. Józef, brat cesarza Na-

nieł. Żołnierzowi je zabrać. Niema słów któreby wystawić mogły okropność położenia; wyobrazenie piekła błędnie przy wspomnieniu tej chwili.“

Szarża szwoleżerów była tak gwałtowną, że nieprzyjacieli nie mógł jak tylko raz jeden dać ognia z dział. Pod Koziętulskim ubito konia; ale już wtedy 12 dział było zdobytych. Dosiadł drugiego, i dopiero silna kontuzja w lewą nogę zmusiła go, że zdał dowództwo Dzierwanowskiemu, który po raz trzeci uformował żołnierzy, i zdobywszy następną baterią, padł śmiertelnym ugodzony ciosem. Porucznik Niegolewski z wachmistrem Sokolowskim znajdowali się już wtedy na szczycie góry u czwartej baterii, a choć Niegolewski, otrzymawszy 32 ran, prawie niezwyty padł przy armatach, jednak tryumf był zapewniony, a nadeszłe pod dowództwem Tomasza hr. Łubieńskiego posiłki dokonały zwycięstwa. Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu tylko 37. Oficerowie Rudowski, Rowicki, Krzyżanowski zginęli; Dzierwanowski z ciężkich ran umarł w Madrycie; Tedwena wachmistrza koni dostał 7 kul, on sam był ranny w nogę, a płaszcz jego tyle miał dziur od strzałów, że nie można było z niego jednej pary rękawicy wykroić. Tak samo postrzelany był płaszcz Koziętulskiego, który potem księżna generałowa ziem podolskich wyprosiła u niego i na wieczną pamiątkę w Sybilli puławskiej umieściła.

Ciężkie były ofiary, ale też i tryumf najzupełniejszy. Jeńcy, działa, sztandary, kassy wojenne stały się zdobyczą zwycięzców. Jedna z tych kass rozdana została zaraz pomiędzy tych żołnierzy, którzy należeli do ataku a zostali przy życiu. Hiszpanie poszli w rozsypkę. Tomasz hr. Łubieński gonił uciekających przeszło dwie mile hiszpańskie, a po odniesionym zupełnym tryumfie, wysłał porucznika Szeptyckiego z raportem do pułkownika Wincentego hr. Krasieńskiego, z poleceniem, że gdyby spotkał samego cesarza, to jemu winien raport doręczyć. Szeptycki rzeczywiście spotkał wprzód cesarza, otoczonego licznym sztabem. Odebrał on raport i nie ukrywał wielkiego zadowolenia.

— *Vous êtes des braves!* zawołał; a potem kazał oznajmić oddziałowi, że warci być jego gwardyą. Sam dyktował bulletyn o tym zwycięstwie, co zwykł był czynić tylko w ważniejszych zdarzeniach, i mówić o szarzy jazdy polskiej, nazwał ją atakiem tak świetnym, jakiego nigdy nie było.

Zazdrość Francuzów była wielka; nie podobało im się, że odwaga „żelaznych ludzi“, jak ich nazywał król hiszpański Józef, stworzyła im bramy Madrytu, i starali się zaciarać wrażenia tego dnia świetnej chwały. Poszedł ich śladem nawet poważny historyk Thiers, i w swojej Historii konsulatu i cesarstwa dopuścił się błędu, przypisując wzięcie wawozu Francuzom. Koziętulski już nie żył, aby mógł upomnieć się za siebie i za rodaków, zastąpił go jednak Niegolewski i skłonił Thiersa, że błąd swój odwołał i kartki z opisem bitwy pod Sammo-Sierra przedrukował.

Cesarz Napoleon nie okazał się tak niewdzięcznym. Zaraz na placu boju ozdobił Koziętulskiego krzyżem kawalerskim legii honorowej (*), a w trzy lata później, dyplomem datowanym w Saint-Cloud dnia 26 kwietnia 1814 roku, nadał mu godność barona cesarstwa francuzkiego, z przydaniem do rodzinnego herbu wieży kastylskiej, miecza i chorągwi; aktem zaś z dnia 3 maja 1812 roku obdarzył go donacją dóbr gminy Syck, położonych w departamencie ujścia Wezery, w królestwie hanowerskim, z wyliczonym dochodem rocznym 2000 fr. 44 cent. wynoszącym.

Sława jaką odkryły się pod Sammo-Sierra polskie szereg, znalazła silne odbicie w kraju: posypały się opisy prozą i wierszem, ody na cześć walecznych. Zebranie tych objawów narodowych uczuć w porządną całość, przyniosłoby korzyść literaturze i historii. My nie możemy się powstrzymać od przytoczenia tu jednego ze świeższych utworów naszego kochanego śpiewaka z nad Tybru.

W Sammo-Sierra przez wawozy
Napoleon wiódł obozy,
A że chłodne były ranki,
Dalej ja też do blaszanki.
Wtém, gdy piję zdrowia dwoje,
Napoljona—potém swoje,
Słucham—trąbka gra sygnały...
Konie już ten sygnał znały,
Stępa, stępa, to jak dzieci.
Wtém od sztabu ktoś nadleci:
Koziętulski—znałem jego,
Miał konika bułanego,
Dobry szabli: „Szwolężery!
Hej wiarusy! dalej w kłusy!
A dobędziem Sammo-Sierry.“
Stroma ścieżka wiodła w skały,
Kirassyery rejterują,

Ale nasi nie folgują,
Choć harmaty diablo grzmiały.
Ogień buchnie—co wypała,
To się ludzie z końmi wała.
Z Koziętulskim szarżowali,
Pióro z czapki ustrzelili,
Bułanego mu ubili.
Wziął innego: Dalej! dalej!
Kule się jak grad sypały,
W jego szabłę uderzały.
Dobrze mówią że nie minie,
Kto ma zginąć—to i zginie,
A kto nie—to ujdzie cało.
Dalej wiara i kamraty!
Słońce po to tylko wstało,
By zwycięstwo oświecało.
A tak nasze szwoleżery
Wzięli szańce Sammo-Sierry.
Dzierwanowski wtedy zginął,
Co szaloném męstwem zginał.
Cesarz był przy jego zgonie,
Dłoń stygnącą wziął w swe dłonie.

Zdaje się że nie potrzeba komentarza do takiego opisu.

Z równą jak pod Sammo-Sierra odwagą, walczył Koziętulski na czele nowo-sformowanego szwadronu pod Alcalá, Gwadaluchar i St. Cruz. Kiedy pomimo zajęcia w dniu 4 grudnia Madrytu, Francuzi nie mogli dać sobie rady z narodem hiszpańskim, toczącym skrytą z niemi walkę; kiedy Austria, korzystając z pory, dnia 9 kwietnia 1809 roku wypowiedziała Francji wojnę i początkowo, szczególnie w Włoszech, odnosiła tryumf,—cesarz z właściwą sobie szybkością przerzucił znów swoją armię do Niemiec, zajął Wiedeń i dnia 6 lipca stanął pod Wagram. Szwolężery, dzielący wszystkie trudy okropnej z Hiszpanami wojny, znaleźli się znów w tej wielkiej bitwie pod okiem cesarza, jako jego gwardyja. Koziętulski, dokazując cudów waleczności, a po raz trzeci wiodąc swój szwadron do szarzy przeciw ułanom księcia Schwarzenberga, raniony został pałaszem w głowę, za co po wyleczeniu się dnia 13 grudnia 1809 otrzymał krzyż oficerski legii honorowej, a minister wojny księstwa warszawskiego, książę Józef Poniatowski, w dniu 26 listopada 1810 r. posłał mu krzyż kawalerski polski orderu wojskowego wirtuti militari.

Nadeszła wreszcie pamiętna wyprawa 1812 r. Polacy, po kilku latach poświęceń i trudów, ujrzeli się nakoniec na własnej ziemi, w objęciach rodaków. Dnia 24 czerwca 1812 r. Napoleon ze swemi gwardyami stanął nad brzegiem Wilii, a widząc oddziały przeciwników na drugiej stronie rzeki, polecił wysłać na ich spotkanie lekką jazdę. Koziętulski, nie czekając na ułatwienie przeprawy, jak drugi Stefan Czarniecki rzucił się w całym uniformie na czele szwadronu wplaw, przebył rzekę w obec przypatrującego się temu cesarza i oddziały te rozproszył. Następnie był w bitwie pod Witebskiem, a pod Smoleńskiem odniósł ciężką ranę od kuli tyralierskiej w prawą nogę, i konia pod nim zabito.

Napoleon, po wyjściu z Moskwy, postanowił pójść ku Kijowu, w życzliwsze i cieplejsze strony i tam z armią przezimować. Pomysł był bardzo trafny, ale strona przeciwna była o nim zawiadomiona i postanowiła temu zapobiedz. Na polach Mało-Jarosławca rozstrzygła się kwestya bytu wielkiej armii i los wyprawy. Rezultat tej krwawej bitwy nie był dla Napoleona pomyślny. Dnia 24 października cesarz przeniósł główną kwaterę do wsi Ohorodyna pod Mało-Jarosławcem, gdzie tylko waleczności swojej gwardyi wniwien był ocalenie. Dwudziesty siódmy bulletyn wielkiej armii tak opisuje to zdarzenie: „Dnia 24 października, o 6ej godzinie z rana, 6000 Kozaków, wemknawszy się do lasu, uderzyli z okrzykiem na tył stanowiska i 6 dział tam stojących zabrali. Książę Istrii pobiegł w cwał z całą jazdą gwardyi, odparł ich nazad, odebrał artylerję, którą była zajęta, i wiele jej własnych wozów zdobył.“ (Gazeta Warsz. z roku 1842 nr 96).

Otóż w tej zaciętej walce Koziętulski, na czele swego szwadronu zasłaniając osobę cesarza, raniony został dwa razy, raz kulą karabinową, drugi raz lancą w piersi i miał pod sobą zabitego konia. Napoleon, który patrzył na zapał z jakim szwoleżery stanęli w jego obronie, zaraz na placu boju mianował Koziętulskiego pułkownikiem-majorem, a wielu oficerom i żołnierzom rozdał krzyże legii honorowej. Caulaincourt, książę Wicency, własną ręką napisał Koziętulskiemu poświadczenie tego zdarzenia, które tu w tłumaczeniu polskiem przytaczamy.

„Książę Wicency, generał dywizyi, wielki koniuszcy Francyi i t. d.

Poświadczam że pan Jan Leon Hippolit Koziętulski, pułkownik-major (colonel-major) w 4ym pułku lekkiej kawalerii gwardyi, mianowany został pułkownikiem-majorem przez cesarza na polu bitwy pod Małym-Jarosławcem, 28 października 1812 r. i że był w tej

bitwie ciężko ranionym. Fontainebleau, 2 kwietnia 1813 roku. Caulaincourt.“

Z powodu jednak wypadków później zaszłych, urzędową nominacją na ten stopień otrzymał dopiero w Neumark, dnia 31 maja 1813 roku.

Wiadome są z dziejów dalsze olbrzymie usiłowania Napoleona, aby podtrzymać urok błędnej gwiazdy swego szczęścia. Koleją wypadków odstępowali go najbliżsi sprzymierzeńcy: Polacy tylko jedni do ostatka dzielili z nim zle i dobre. Koziętulski odznaczył się w bitwach pod Bautzen, Reichenbach, w szarzy na cmentarz pod Dreznem, w bitwach pod Altenburgiem, Wejmarem, Hanau, a w pamiętnej walce pod Lipskiem znów był raniony. W kampanii holenderskiej dowodził pułkiem pod Breda, a powołany dnia 22 sierpnia 1814 na dowódcę eklerów gwardyi i dowódcę 4ej brygady, z zapalem który wzbudzał podziw samych Francuzów, walczył pod murami Paryża. Ale męstwo nie przemogło siły, i Napoleon w Fontainebleau pożegnać musiał swoich wiernych towarzyszy broni, między którymi był i Koziętulski.

Po powrocie do kraju, potrzebował Koziętulski spokoju i wytchnienia po ciężkich trudach i cierpieniach fizycznych i moralnych. W tym czasie zaszły zmiany spowodowane układami kongresu wiedeńskiego. Zaczęto formować polskie wojsko. Koziętulski był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się z chęcią poświęcenia swych usług krajowi i dnia 20 marca 1815 r. otrzymał dowództwo 4go pułku ułanów.

Ale zdrowie nie odpowiadało najlepszym jego chęciom: już w czerwcu 1815 roku zmuszony był prosić o urlop na rok jeden, dla poratowania zdrowia; po upływie jednak tego czasu, w skutek przedsięwziętej kuracyi, uczuł się o tyle lepiej, że objął dowództwo rzezonego wyżej pułku. W tym czasie, stojąc z wojskiem w różnych stronach królestwa, szczególnie w Podlaskiem i Lubelskiem, zostawił po sobie najmilsze wspomnienia. Kazimir Wł. Wójcicki opowiada, że poznał wtedy Koziętulskiego w Białej Radziwiłłowskiej, na folwarku Sławacinek u swoich rodziców, gdzie nasz wojownik często przychodził na podwieczorki z gronem oficerów. Lubił także wieczorami przechadzać się samotnie pod cieniem drzew w ogrodzie i obszernym dziedzińcu zamku Radziwiłłowskiego.

Kwaterując w Lubelskiem, szczególną życzliwością zaszczycał domy księcia Macieja Jabłonowskiego, b. prefekta depart. lubelskiego w Wysokiem, państwa Debolich w Krasnymstawie i Trembińskich w Bzowcu. U tych ostatnich poznała go matka autora tego artykułu, i często opowiadaniem o bohaterze Sammo-Sierry budziła młodzieńca jego wyobraźnię.

W wolnych chwilach od zatrudnień służbowych, Koziętulski pisał „Przepisy jeżdżenia na koniu i robienia pałaszem i lancą, dla lekkiej kawalerii.“ W nich, oprócz dokładnej znajomości przedmiotu i łatwego władania językiem, znajdujemy jeszcze dowód jakim był zwierchnikiem; w przedmowie bowiem pisze:

„Wszelkie surowe, obelżywe i gwałtowne obejście się z żołnierzem przy jego nauce, jaknajmocniej zakazuje się. Grubiaństwo zwykle jest dowodem własnej nieumiejętności, a niszczy punkt honoru, który duszą żołnierza być powinien. Opieszałość, niechęć, krnąbrność zasługują na karę właściwą; kara poprawia, ale krzywdzące postępowanie oburza.“

Szlachetne takie pojmovanie obowiązków zwierchnika, przekonywa nietylko o zacności uczuć Koziętulskiego, ale i o religijném pojmovaniu miłości bliźniego, czego niejednokrotnie dawał dowody, nie idąc w tém za zwyczajem wieku, lecz szczerze będąc przywiązanym do wiary swoich ojców. W r. 1813 dnia 20 kwietnia zapisany został do społeczeństwa stróżów grobu jerozolimskiego, przez Tomasza Nowińskiego, generała kanoników regularnych, proboszcza infułata miechowskiego.

Dnia 5 maja 1818 r. Koziętulski otrzymał order św. Anny II klasy, a w październiku tegoż roku zmuszony był znów prosić, dla poratowania zdrowia, o urlop na 6 miesięcy Rany kilkakrotnie odniesione i trudy ośmiu lat ciągłych wojen, odzywały się ze swemi straszniemi skutkami. W kwietniu 1820 r. zdał komu innemu dowództwo pułku, a 26 maja tegoż roku przeniesiony *à la suite*, zakończył życie w Warszawie, w domu przy ulicy Leszno nro 659, wówczas własnością Kwiatkowskiego, a dziś Jegra będącym, dnia 3 lutego 1821 roku, licząc zaledwie lat 40 wieku. Zwłoki jego z ulicy Leszno do kościoła oo. kapucynów eksportował arcybiskup warszawski i prymas książę Hołowczyc. Za trumną postępowala rodzina, wojsko i cała prawie ludność Warszawy. Nazajutrz na nabożeństwie żałobném zasługi wojownika opowiedział ludowi książę Kotowski, a *castrum doloris* odprawił arcybiskup, w asystencyi biskupów:

(*) Dyplom na ten krzyż otrzymał dopiero 10 marca 1809 r.

Wołowicza, Zambrzyckiego, Ostrowskiego i Koźmiana. Następnie zwłoki jego przeniesione zostały do grobu familijnego, pod kościołem w Belsku pod Grójcem.

Ant. Wien.

Kronika tygodniowa.

Sierpniowe światło księżyca już od kilku dni zapanało na niebie; słońce, wstąpiwszy w znak panny, ostrzega niejednego że już lato przemija, że dnia nieznacznie zaczyna ubywać.

Wkrótce dżdżysta jesień, a za nią nieublagana zima, zakończy te lube chwile, skwarne może zanadto, pałac afrykańskim żarem, ale pełne jeszcze zieleni, poezyi i życia.

I człowiekowi podobne grożą losy. Zaledwie podmuch wiosny rozwinął krępujące go pieluchy niemowlęstwa, zaledwie pierwiosnki, fijołki i różę najcudniejszą wonią rozbudziły w nim roskosz życia, już przychodzi skwar lata, skwar pracy; człowiek bierze go na swe barki, ociera uznojone czoło, ale pracuje z zapalem, bo żar ten rozgrzewa krew, która żywo krąży, piersi przepelnia. Alisci czuje że siły słabieją, chłód jakiś zalatuje: to oddech jesieni, poprzedzający zimę. Z żalem więc spogląda na zniżającą się gwiazdę życia, tęsknota za wiosną pozostała w duszy, każdy kwiat jesienny nabiera niesłychanej wartości, a przestrach bliższej zimy resztę sił przygniata. Ale biegu czasu nic nie wstrzyma. Szalonym pędem leci w mroźne objęcia biedny wędrowiec i znajduje pokój aż w mogile, za którą znów nową wygląda wiosny.

Są przecież ludzie, którzy rodzą się już starami, i zmiana pór roku żadnego na nich nie wywiera wpływu. Im wszystko jedno, czy wiosna kwieciami zaścienia łąki, czy lato bujnym kłosem okryje łąki, czy jesień ostatnim uśmiecha się promykiem, albo mróz białym całunem skrępuje biedną przyrodę. Im równie miły, a bodaj czy nie miłszy, ogień kominka, który mdłym ciepłem pieści ich niedołężne ciało, jak powiew wiatru balwaniącego zbożowe kłosa. Oni nie mieli wiosny życia, nie widzą jak szybko ubiega lato, nie czują chłodu jesieni i zaledwie starganie sił organizmu w zimowych godzinach, przerywa to pendulowe życie i ostrzega że trzeba się wyrzec wszystkich sztucznych roskoszy i ulubionych nawyków.

O, takim stokroć lepiej na świecie; życie ubiega im bez namiętnych uniesień, ale też szczędzi cierni i boleści, tęsknoty i żalu za wiosną. Pomimo to jednak nie zazdroszczę im tych szklarniowych roskoszy.

— A do czego to prowadzą te wszystkie jeremiady, mości kronikarzu?

— Prosiuśienko do Saskiego ogrodu.

— Co?

— Nieinaczej. Lato się kończy; jeden jeszcze miesiąc, a ustana przechadzki ranne do wód mineralnych i znikną Ondyny darzące nas słono-gorkim nektarem. Trzeba więc używać pory, trzeba napić się Kissingu lub Vichy! Czy zgoda?

— Zgoda!

W ogródku wód mineralnych zaszła wybitna zmiana: znikły kamelie, azalie, gloxinie i mimozy, a w miejsce ich kwitną bławatki, fijołki i niezapominajki. Szumu bez porównania mniej jak w latach dawniejszych; francuzki żargon z rzadka niemiliym zaleci gwarem; blade młodziki, z dłuższymi od siebie bokobrodami, pierzchnęli jak mgła poranna, i leżący się na seryo zastąpili tych, co dla ścigania tylko naturalnych lub sztucznych wdzięków, zstępowali do tego Hesperyd gaju.

Tylko, jak dawniej, dmucha niezmordowanie muzyka, w zielonej ukryta altanie; tylko, jak dawniej, skrzyplą kurki zdrowiodawce i gazem przepelniona woda szumi w kryształowych kubkach; tylko, jak dawniej, porcyjka kawy kosztuje 20 groszy, a bułeczka dwugroszowa, pięć groszy!

Ciekawą w tym względzie słyszeliśmy rozmowę.

— A czy się to godzi, moja panienko, rzekł jakiś poważny jegomość do usługującej dziewczyny, za dwugroszową bułeczkę brać aż pięć groszy?

— Może pan taniej u piekarza dostać, odrzekła nadąsana Hebe.

— Do piekarza, moje dziecko, nie pójde, bo tu przyszedłem posilić strudzone przechadzką ciało; ale muszę ci powiedzieć maleńką reprimandę.

— Wolno panu mówić co się podoba.

— Otóż widzisz kochanie, gdybym gdzieś w innym mieście powiedział, że za produkt nie przerobiony, ale wprost z ręki w rękę sprzedawany, każesz sobie tak drogo płacić, nie uwierzonoby mi wcale. Bo czy wiesz, moja panienko, że taka cena zakrawa na brzyd-

ką lichwę? Sto pięćdziesiąt od sta na dzień, to wyniesie przez cztery letnie miesiące 48,000 od sta na rok! Nie wiem czy gdzie na świecie podobne istnieją procenta. Wszędzie po innych miastach sprzedają bułki za tę cenę, po jakiej u piekarza dostać ich można, poprzestając na małym procentie przez piekarza przy hurtowej sprzedaży ofiarowanym. Jak można taki haracz na publiczność nakładać? Ot patrz, w ogrodzie Krasinich, to niezbyt daleko, a już tylko trzy grosze każą sobie płacić.

— Widać że z pana brzydki skąpiec.

— Nie idzie tu, moja panienko, o tę parę groszy, tylko o zasadę, w każdym ucywilizowanym kraju ściśle przestrzegana, robienia dogodności publice, bez zbytejnego jej wyzyskiwania.

W którejs z poprzedzających kronik pisaliśmy o nieszczęśliwych mieszkańcach suterren; dzisiaj znów mówić o nich jesteśmy zmuszeni.

W czasie gwałtownej ulewy, która w zeszlém sprawozdaniu naszym dość ważną grała rolę, na Tamce wezbrana woda deszczowa oknami wdarła się w jednym z murowanych domów do suterren i te tak szybko zalala, że mieszkańcy zmuszeni byli ratować się ucieczką przed powodzią.

Szczerze nam żal tych biednych ludzi, szczerze nam żal tych biednych dzieci, którym w samym rozwoju życia drobnicuchne członki wykrzywia choroba angielska (rachitis), głównie w wilgoci mieszkań źródło swe mająca, i dlatego raz jeszcze podnosimy głos przeciw suterrenom, raz jeszcze w obec ogółu rzucamy im rękawicę.

Ale jak z jednej strony nieprzyjemnym może dla kogoś słówkiem uderzamy niekiedy na to, co sumienie, dla dobra ogółu, potępiać nam każe, tak z drugiej obowiązkiem jest dziennikarskim nie szczędzić pochwały tam, gdzie się ona słusznie należy. Tygodnik izraelski *Jutrzenka*, w numerze trzecim, zawiera artykuł tak piękny, tak po obywatelsku pojęty, że winniśmy publicznie podziękowaniem dowieść redakcyi naszego uznania.

Stosunek ludności krajowej wyznania mojżeszowego do chrześcian, liczebnie wynosi zaledwie część ósmą. Inny wszakże zupełnie jest stosunek wyborców. Większa część Izraelitów umie czytać i pisać, gdy tymczasem pomiędzy włościanami naszymi mało który te początki wykształcenia posiada. Ztąd liczba wyborców izraelskich zmienia się przeważnie na ich korzyść. Otóż redakcyi *Jutrzenki*, troskliwa o to, aby pracy około dobra publicznego nie powierzono w ręce ludzi nieudolnych i niezających potrzeb kraju, napomina swych współwyznawców, iżby „niejasne pojęcie powinności, wynikające z ich odosobnionego położenia w pośród obywateli, nie chciało się objawić przez pewien patryotyzm religijny, to jest aby przyzwyczajeni sami sobie wystarczać, i teraz nie wybierali z pośród siebie tylko, członków różnych rad utworzyć się mających.“

„Popelnilibyśmy, pisze *Jutrzenka*, przez to nietylko wielki błąd, ale nawet grzech w obec kraju, który potrzebuje pracowników wytrawnych, z wymaganiami ogółu obeznanym; a nas dotychczas najczęściej troska o utrzymanie tak wyłącznie zajmowała, żeśmy potrzeby kraju tylko ukradkiem śledzić mogli.

„Szukajmy dlatego członków do rad między tymi, których i szczęśliwe położenie obywatelskie, i ciągła potrzeba służenia ogółowi, do pożytecznego dzieła dostatecznie wykształcili.“

„Nie zamysłamy wszakże zalecać, abyśmy się zupełnie wstrzymał mieli od wybierania naszych współwyznawców, i owszem: gdziekolwiek pomiędzy nami znajduje się człowiek obeznany z potrzebami kraju, któryby potrafił je jasnym i czystym słowem wypowiedzieć, wybierajmy go, niech służy krajowi, a ogół nam przykłaśnie i pracownika poczciwego otwartymi ramionami przyjmie; ale nie róbmy, na miłość Boga, z wyborów przywaty, nie popierajmy nikogo dlatego tylko, że on nasz brat, bliższy lub dalszy krewny: tu interes osobisty zamilknąć, próżność ustąpić i cele uboczne zniknąć powinny, a jedynym kierownikiem dla wszystkich, stać się powinno dobro kraju, dobro ogółu.

Artykułem tym *Jutrzenka* pięknie sobie przygotowała przyszłość, dała dowód zrozumienia swych obowiązków i czystego pojęcia stanowiska obywatelskiego. Mamy nadzieję że nigdy z tej zacnej drogi ani na chwilę nie zbroczy.

Wszystkie gazety miejscowe w ostatnich dniach donosiły skwapliwie o rzeźbie, jaką ziomek nasz, p. Bolesław Syrewicz, wykonał w Monachium. Grupa ta przedstawia św. Walentego, w chwili gdy przywraca wzrok niewidomej córce Aesteryusza, dworzania cesarza rzymskiego Klaudyusza; wykuta jest z białego kamienia, w wysokości sześciu stóp, nie licząc platy, i ma być ustawioną w mieście Kutnie, na placu przed tamecznym szpitalem świętego Walentego.

Otóż przypominamy czytelnikom, że rysunek tego

posagu, wraz z ocenieniem jego ogólnem i krótką wiadomością o życiu i pracach poprzednich Syrewicza, podaliśmy przed rokiem już przeszło, bo w numerze 40 naszego pisma; redakcyje jednak pism naszych przy swych sprawozdaniach nic o tém nie wspomniały.

Obecnie znów Pszczola zamieściła artykuł Syrokomli, opisujący nagrobek księcia Dymitra Sanguszki w Jaromirzu, w Czechach, nie wspominając także o tém, że daliśmy jego rysunek i opis w 94 numerze *Tygodnika Ilustrowanego*.

Możnaby doprawdy pomówić szanownych kolegów-dziennikarzy o nieczytanie naszego pisma; boć przecie zawsze należałoby oddać *sum cuique*, a więc i nam zasługę podania pierwszej wiadomości i o pięknej pracy naszego ziomka, i o pomniku księcia Dymitra.

W dziedzinie dziennikarstwa warszawskiego, oprócz *Przeglądu polskiego* pana Gliszczynskiego, pojawia się nowa publikacya, to jest *Dziennik zdrowia* doktora K. Gregorowicza, brata redaktora *Magazynu mód*. Pismo to ostatnie także zmienia tytuł na *Tygodnik mód*. Nadto utalentowany pisarz, p. Apollo Korzeniowski, osiadłszy w Warszawie, zakupuje, jak nam mówiono, od p. Dmóchowskiego *Świat* i ma go przemienić na pismo dwa razy w miesiąc wychodzące, podobnie jak paryzka *Revue des deux mondes* redagowane.

Brodząc po dziedzinie literackiej, donosimy także iż jeden z zamożnych naszych nakładców przedsięwziął *stereotypowe* wydanie klasyków naszych i zamierza rozpocząć je od Krasickiego.

Mysł ta szczęśliwa powinna zyskać uznanie ogółu; jedną bowiem z zalet wydania ma być, jak słyszeliśmy, taniść nadzwyczajna, tak aby prawdziwie stało się popularnem i każdemu dostępnem.

Nie możemy także przemilczeć o *Bibliotece polskiej* Turowskiego. Kilkoletnie usiłowania mozolnego wydawnictwa, dzięki wytrwałości przedsiębiorców, nie rozbiły się dotąd o obojętność publiczności. A w istocie obojętność ta zasługuje na otwartą naganę. Bo kiedy w domu każdego Niemca spotkać się można z Göthem, Szyllerem, Lessingiem i t. d., u nas na setki naliczyćby można domy, gdzie nietylko niema dzieł ukochanego Jana z Czarnolesia, ale nawet nie spotykamy się z księciem biskupem warmińskim, coż dopiero z Naruszewiczem, a jeszcze bardziej z Bielskim.

Biblioteka polska odgrzebuje i wydziera zniszczeniu pomniki sławy naszej piśmienniej, drukuje rzeczy nadzwyczaj rzadkie, dla naszego pokolenia zupełnie nowe, a czyliż cieszy się takim współudziałem, na jaki zasługuje?

W ostatnich czasach przedrukowała ona rzeczy bardzo ważne i pożyteczne, jak np. dzieła Staszica, Surowieckiego, wyczerpane już zupełnie i znikłe z obiegu księgarskiego, a wreszcie panowanie Zygmunta III Niemcewicza.

O tém ostatniem dziele jeden z krytyków zamieścił w Bibliotece Warszawskiej swoje uwagi i stanowczo potępił jego przedruk, mówiąc że dzieło Niemcewicza nie nie warte, że dzisiaj nie pisze się tak historyi, jak on ją pisał. Nie przeczymy że dziś jest daleko więcej materyałów, z których badacz dziejów ojczyznym mógłby dzieło takie nierównie dokładniej opracować. Wszelako zawsze to jest praca bardzo szacowna, jako materyał w rękę historyka, bez którego żaden fachowy uczonej obejść się nie potrafi.

Na ostatek dla czytelników naszych chowamy miłą niespodziankę.

Co z oczu to i z myśli, mówi dawne przysłowie, arcy trafne w okoliczności o której mówić zamierzamy.

Żył niegdyś między nami znany podróżnik, któremu imię było Teodor. Podróżnik ten długo zachwycał mieszkańców naszego miasta opowiadaniem swych fantastycznych wycieczek, począwszy od lodowatej Norwegii i Laponii, do spieklego Marokko, a nawet w obłoki i na księżyc.

Publiczność biegła za nim, porwana ogniem jego fantazyi, i skwapliwie rozchwytywała płody z pod obfitego pióra płynące. Znajomi i przyjaciele napelniali salony wędrowca, który z nieudaną gościnnością i weselością przyjmował zapraszanych i niezapraszanych nawet przybyszów.

W tém nagle wszystkie jego prace, rozcięte jednem uderzeniem pióra, zawyroковано na *Auto da fe*, a dziś, — dziś o nim nikt nie wspomni w Warszawie, i nawet nie wiedzą gdzie się obraca. A przecież podróżopisarz o którym mowa na tak bezwarunkowe zapomnienie wcale nie zasługuje.

Otóż, szanowni czytelnicy, powiem wam gdzie się znajduje ten ulubiony niegdyś autor.

W dzienniku turyńskim *Il mondo illustrato* widzieliśmy niedawno artykuł po włosku napisany, z podpisem naszego znikniętego od czterech lat *doktora-Polaka*.

ZARĘCZINY STAROPOLSKIE I TEGOCZESNE.

I.

Z upływem wieków zmieniają się nie tylko zwyczaje, ale wyobrażenia społeczne i sam język ojczysty.

Stary Polak z XV lub z początków XVI wieku nie pomyślał, ażeby wyraził pogardliwy i ohydny „kobietą”, mógł zastąpić kiedyś nazwę poważną *niewiasty* lub *białogłowy*. Marcin Bielski (Sejm niewieści r. 1586) wyraża boleść białogłów polskich, że je dla hańby *kobietami* przezwa-

no. Wujek w przekładzie Pisma św. nigdzie tego wyrazu nie użył; późniejszy Grzegorz Knapski, sławny autor słownika, nie śmiał go w swoim *Skarbcu* umieścić.

Dziś wyraz *dziewka* jest rażący, a przecież znakomity rodem, zasługą i dostojnością Jan Tarnowski, hetman w. k., zwycięzca z pod Obertyna, wyrzekł nasejmnie o swoim potomstwie: „mam syna i *dziewkę*”.

Ogólna nazwa *białogłów* w naszym języku, pochodzi z czasów jeszcze przedchrześcijańskich, kiedy w barwie *czarnej* widziano wszystko złe, brzydkie, złośliwe, straszne i grożące szczęściu ludzi (Czarny bóg); do *białej* zaś przeciwnie przywiązywano znaczenie wszystkiego co było dobre, naderbne, piękne, słowem co pomagało do pomyślniej doli na tej *biędnej* ziemi, (Biały bóg). W samej więc nazwie *białogłów*, już widzimy dla niewiast polskich hołd i cześć należną im wdziękom, dobroci i poświęceniu dla kraju i rodziny, które umilają domowe nasze ogniska.

Wielkie zmiany w wewnętrznym życiu społeczności naszej, odbijają wydatniej jeszcze w pojęciach co do małżeństwa. Stary Polacy związek ten, poświęcony błogosławieństwem kościoła, uważali jako *zakon*. Ztąd częste w dawnych pismach naszych czytamy wyrażenia o *zako-*

nie małżeńskim, i ztąd też powstało odwieczne przysłowie, że: *śmierć i żona od Boga przeznaczona*.”

Z pojęcia tak wysokiego uważając *zakon małżeństwa*, przystępowali do niego z wyobrażeniami zupełnie różnymi od tegoczesnych. Związek dożgonny ota-

Ztąd obrzędy *zaręczyn* i *wesela*, były pełne powagi uroczystej, uświęconej starodawnym zwyczajem i podaniem.

Dopóki szlachta polska zachowywała ojców swoich prostotę, strzegąc się cudzoziemskiego obyczaju, zbliżona do ludu w patryarchalnych stosunkach, zachowywała też same co on w obrzędach weselnych zwyczaje.

Badając pilnie dawne pomniki dziejów wewnętrznych naszego narodu, mamy wyraźne dowody, że do połowy większej XVI wieku, obrzęd weselny szlacheckim się nie różnił od ludowego, jak tylko dostatkami jadła i napoju, a przytęm większą wystawnością.

Pieśni przywiązane do szczegółów obrzędu, były jednakowe; panna młoda, szlachcianka czy wiejska dziewczyna, siedziała na *dzieży*, gdy jej rozplatano warokocze. W końcu dopiero tego wieku, a szczególnie też w XVII, dla rozróżnienia od ludu, szlachta wygnała pieśń starą z tej uroczystości, a zastąpiła ją wymową. Tylko na starém Mazowszu pieśń o *chmielu* przetrwała do dni naszych wszystkie zmiany w wyobrażeniach społeczności.

Dwa drzeworyty które tu podajemy, przedstawiają *zaręczyny staropolskie i rowożytnie*. Na pierwszy rzut oka malują one dokładnie różnice między dawnymi a teraźniejszymi czasami.

W pierwszym, para narzeczonych klęczy kornie u nóg rodziców, odbierając od nich błogosławieństwo i zażegnanie na przyszłość swoje, a stary domownik, wsparty na szablach, łączy z innymi swoje ciche modły o pomyślność młodej pary. W drugim widzimy ową lekkomyślność

czuł urok świętości i przekonania religijnego, że złożona na stopniach ołtarza przysięga miłości i opieki nad współtowarzyszką życia, w doli i niedoli, wiernie dochowaną być musi do grobowej deski.

pojęcia małżeństwa, tak ze strony rodziców, jak i zaręczonych, którzy nie mają nawet poczucia świętości takiego związku. Już to nie *zakon małżeński*, ale umowa towarzyska, w której wyprawa a posag główną grają rolę.



ZARĘCZINY STAROPOLSKIE. (Skomponował i rysował Rudzki.)



ZALOTY TEGOCZESNE. (Skomponował i rysował Rudzki.)

Wpatrzywszy się badawczo w społeczność polską z upłynionej przeszłości, widzimy jasno, jak pojęcie tak wzniosłe związków małżeńskich, wpływało z potrzeb domowego życia.

Szlachcic, zajęty sprawami Rzeczypospolitej, gotowy na każde jej zawołanie, czy do rady, czy do boju w obronie granicznych kopców, bywał przez długie lata, bo przez całe dni młodości i dojrzałego męskiego wieku, gościem prawie w dworze swoim. Małżonka więc jego, matka rodziny, obejmowała zarząd domu całego i gospodarstwa, a sprawę zdawała tylko Bogu i mężowi.

Jeżeli poległ na polu bitwy, w obronie wiary i ojczyzny, wdowę otaczał szacunek powszechny.

„Jeżeli cześć się w życiu oddawała enocie,
To nieszczęście poczczone w wdowie i sierocie.
Wdowa! To słowo było pobudką czułości,
I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości,
Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa,

Do ostatnich czasów Rzeczypospolitej i długo potem, bo jeszcze przez czasy księstwa warszawskiego, wyobrażenie *zakonu małżeńskiego* trwało niewzruszenie: ztąd w obrzędzie weselnym szanowano wszystkie zwyczaje, aż do szczegółów drobnych, jakie zachowała tradycja familijna.

Zaloty, zaręczyny i samo wesele odbywały się z przekazaną od przodków powagą i uroczystością. Przypatrzmy się bliżej takowym, oparci na dowodach, zachowanych w archiwum rodziny Lelewelów.

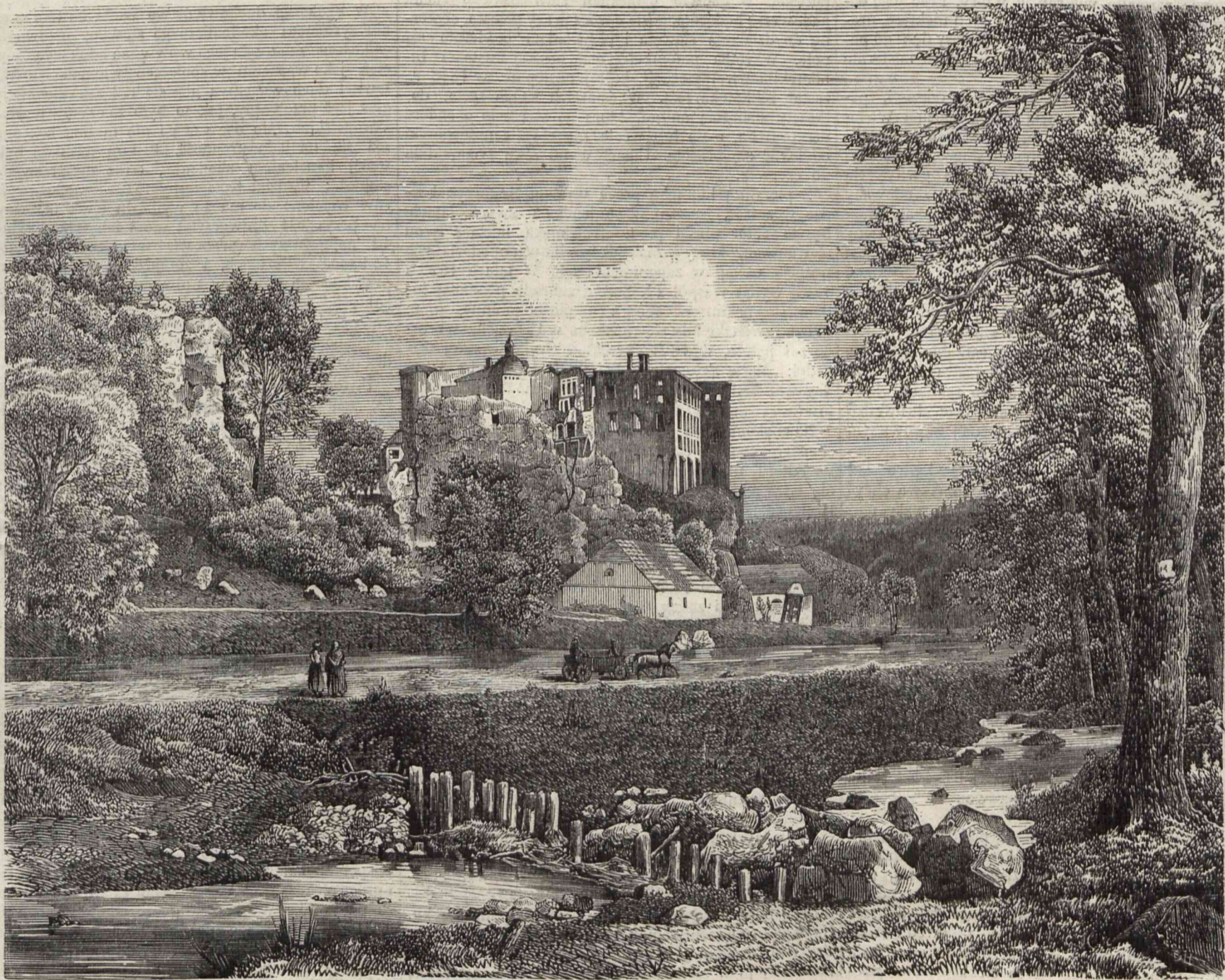
(Dokończenie nastąpi.)

PIESKOWA SKAŁA.

Kto zna uroczą ojcowską dolinę (a każdy znaćby ją powinien) temu nie jest obcą i Pieskowa Skala, zwykły kres wędrówki do zachwycających brzegów Prądnika. W rzeczy samej nie można lepiej zakończyć odwiedzin tej pięknej strony naszego kraju, jak owe-

niemiecką nosił nazwę; jak inne bowiem w krakowskiej ziemi zamki: Olsztein, Rabsztein, Melsztein, tak i ten w najdawniejszych dyplomatach *Peskenstein* jest mianowany, a z tego spolszczony Pieskową Skalą był przewany. Dopiero za czasów Ludwika króla węgierskiego i polskiego został własnością prywatną, którą ów monarcha obdarzył jednego z rodu Szafranców.

Bielski tak o rodzie tym i o nadaniu wspomina. Za czasów Ludwika króla polskiego i węgierskiego wielkie bywały kłótnie i boje w Krakowie między Polakami i Węgrzynami. W jednym z tych zatargów Piotr Szafraniec zraniony został, którego aby ubłagać, król dał mu zamek Pieskową Skalę. Inni atoli całe to zdarzenie odnoszą do r. 1377, mówiąc że w czasie oblężenia Belza raniony w twarz od jakiegoś Węgrzyna, Szafraniec byłby wzniecił domową wojnę, gdyby król Ludwik podarunkiem zamku go nie zaspokoił. Przynajmniej tak utrzymuje Naruszewicz. Pierwszy tych Szafranców przodek nazwany był Zaprzaniec, albowiem zaparli się go dwaj bracia i przy-



PIESKOWA SKAŁA. (Rysował Cegliński z fotografii Beyer'a.)

I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: *wdowa!*
Wdowie w pomoc pospieszyc nie było zasługą,
Bo z jej błogosławieństwem biegło szczęście strugą,
Ale wdowę ucisnąć, to więcej niż zbrodnia
I już za życia w sercu piekielna pochodnia.“

Tak pisze Wincenty Pol w *Senatorskiej zgodzie*, a nikt lepiej z poetów naszych nie odtwarza przeszłości domowego życia w Polsce, jak śpiewak *Morborta*, który patrzył własnymi oczyma na gasnące postacie z ostatnich czasów Rzeczypospolitej.

Stanowisko matki-Polki było wzniosłe, opromienione poważnym znaczeniem. Stanowisko to podnosiło jej godność osobistą, i nie było przykładu (pomijając magnatki, które do narodu liczyć się nie mogą niemal od końca XVI wieku, jako odrośle cudzoziemczale i zepsute), aby matka-Polka nie spełniła święcie powołania swego. Dzieje rodzinnego życia, w piśmie i podaniach, stawiają nam ciągle wzory bogobojnych a enotliwych i niepokalanych matron polskich.

mi ruinami starożytnego zamku, przypominającego minioną przeszłość, co wznosi jeszcze dumne, choć niedolą styrane czoło, wśród wiecznie odmładzającej się przyrody. Zwykłą drogą, która od strony Ojcowa ze sławnego wąwozu wyprowadza, wychodzi się na dolinę otoczoną skałami, zarosłymi ciemnym bukowym lasem. Tu od razu wychylają się białe ściany zamku na jednej z tych skał umieszczonego, który do roku 1854 był jeszcze porządnie utrzymany i pełen osobliwości; ogień zniszczył go wtedy zupełnie, a w nim zgorzało wiele zabytków, pozostałych tylko w pamięci z licznych opisów autorów zwidzających go w rozmaitych czasach. Dziś więc są to już tylko szczątki dawnego gmachu, chociaż szczątki wspaniałe i nieopuszczone; teraźniejszy bowiem właściciel Pieskowej Skali, zrestaurował już po pożarze znaczną część mieszkań które zajmuje i resztę restaurować zamysła. Zamek ten, z okolicznymi należąciami doń włości, od wieków królewską był własnością i dziwnym zbiegiem rzeczy pierwotnie nie polską, lecz

działe części majątku jemu nie dali. Szafraniec w ziemi świętej wojował naówczas; tknięty do żywego niełudzkością braci, rzekł z płaczem: „Gdyście wy mą bracią być nie chcieli, nie bądźcież niczym nigdy ani wy mnie, ani potomstwo wasze potomstwu mojemu.“ I wraz za pozwoleniem królewskim odmienił herb, położywszy na tarczy konia białego, na którym był wyjechał, a na helmie topór, na pamiątkę że z tej wychodził familii.

Cóżkolwiekby, Pieskowa Skala przez dwa wieki pozostawała w ręku owej rodziny, dopóki ta nie wygasła. Wielu z niej znakomite krajowi oddało przysługi. Syn Piotra, tegoż imienia wojewoda krakowski, idąc ztąd na potrzebę grunwaldzką na czele własnego zastępu rycerzy, do odniesionego przez Jagiellę zwycięstwa znacznie się przyczynił. Nadto zniósłszy nieprzyjaciół szyki pod Tucholą, zmusił ich do zawarcia uciążliwego pokoju. Jagiello tak wielkie miał w Szafrancu zaufanie, iż odebrawszy Świdrygiełłę zarząd ziem podolskich, jemu je oddał z władzą pra-

wie książęcą, nadto w r. 1440 w nagrodę zasług dobrami Secemin go obdarował. Ztąd to powzięty początek ogromne niegdyś bogactwa dziedziców Pieskowej Skali.

Jeden z nich, Stanisław Szafraniec wojewoda sandomiński, przebudował zamek w r. 1580, a Michał Zebrzydowski kasztelan krakowski, zostawił dziedzicem Pieskowej Skali po bezpotomnej śmierci Jędrzeja Szafrana starosty lelowskiego w r. 1603, powiększył znacznie zamek i silnym wzmocnił obmurowaniem około r. 1620. Zniszczyli go Szwedzi w r. 1655, już za dziedzictwa Jana Wielopolskiego, który pierwszy pisać się zaczął hrabią na Pieskowej Skale. Potomek tego Jana, Hieronim Wielopolski, w r. 1760 znowu go wyrestaurował, przyzdobił i przyprowadził do stanu w jakim był przed ostatnią pogorzelą. On to wystawił w nim piękną, w stylu włoskim kaplicę, z której sprzęty i organki do kościoła w Grodzisku przeniesione zostały; urządził teatr, a w swoim gabinecie podręczną kuźnię i warsztaty stolarskie. Lubił bowiem trudnić się kowalstwem, a obok tego umiał dółkiem na drzewie rozmaite wykrawać wzory. Prac jego dosyć przechowywano w zamku, a z tych niektóre, uratowane od ognia, dotąd pozostały. Między innymi pokazują tam jeszcze stolik przez niego dosyć misternie wyrobiony.

Sześć wieków opierał się ten gmach czasowi, porządnie i z pilną troskliwością przez rodzinę Wielopolskich utrzymywany. W naszych czasach przeszedłszy na własność p. Jana Mioszowskiego, przez niego i jego spadkobierców z niemniejszą gorliwością był pielęgnowany. Zamek piesko-skalski zbudowany jest w nieforemny czworogran, na cyplu skały wązkiej i od jednej tylko strony dostępnej. Wzniesiony był na dwa piętra, których jedna strona teraz jest odbudowaną, druga zaś bez dachu świeci licznymi od okien otworami. Dziedziniec miał szczupły, a w nim niezmierną głębokości studnię, którą już teraz kamieniami zarzucono. W podziemnych częściach czyli dolnych, w skale wykutych, były mieszkania, skarbee, stajnie i wozownie. Wewnątrz dziedzińca są jeszcze widoczne krużganki, na podobieństwo zamku królewskiego na Wawelu w Krakowie stawiane. Prowadził do niego most zwodzony, który później murywanym zastąpiono. Nad zamkiem unosiły się dwie wieże, jedna ośmiościenna z zegarem, której teraz ledwo ślad pozostał, druga kopułą swoją kaplicę zamkową okrywająca; róg zaś jeden zamku o basztę okrągłą się opierał. Baszta ta przeznaczoną była niegdyś na utrzymywanie więźniów lub karanie winnych. Oprócz tego oficyny dotąd pozostałe i obmurowane tworzyły drugi dziedziniec, przez który do właściwego zamku przechodzić było trzeba, ale te znacznie były późniejsze.

W ogóle jest to budowla śmiała i bardzo obszerna. Dzieliła się na stary i nowy zamek. Pierwsza część zawierała 400 pokoi, obszerne krużganki i lochy podziemne; w drugiej było 60 pokoi mieszkalnych i kaplica. Ta strona do czasu ostatniej pogorzelii najlepiej była utrzymywana; obicia, malowania, zbroje i wszelkie domowe sprzęty kilkowiekowej sięgaly starożytności, tak iż go słusnie polskiem muzeum przewyżano. Wszystkie to w bardzo małej ilości od ognia uratowane, obecnie w wyrestaurowanych pokojach się mieści.

Nad brzegiem Prądnika, prawie pod samym zamkiem, znajduje się osobliwego kształtu jednolita skała, u spodu węższa, a u góry znacznie szersza, mająca postać grubszym końcem do góry przewróconej maczugi, ztąd zwykle pałą albo maczugą, a przez lud miejscowy *Skalą Sokolą* zwana, z powodu iż na niej, podług podań, miały się gnieździć sokoly. Skała ta stanowi jedną z główniejszych ciekawości tutejszego miejsca. Dalej od niej stoi inna, mniejsza, na której hrabina Wielopolska, ostatnia dziedziczka zamku, wystawiła żelazny krzyż, wspaniale tu przedstawiający się i do rozmyślań pobożnych pobudzający.

Paweł Józef Szafarzyk.

(Wspomnienie pośmiertne.)

W dniu 28 czerwca b. r. zgromadzeni tłumnie mieszkańcy staroczeskiej Pragi i okolic, przybyli na tę smutną uroczystość z różnych stron, kraju ziomkowie i deputacye pobratymczych plemion, odprowadzili do grobu zwłoki słynnego i zasłużonego pisarza p. J. Szafarzyka. Był to jeden z tych mężów, którzy pracami swymi nie tylko własnej ojczyźnie, ale całemu słowiańskiemu plemieniu przynoszą korzyść i sławę; słuszną zatem, ażebyśmy i w naszym piśmie poświęcili kartę wspomnieniu życia i pracom jego, oddając razem hołd zasługom i obeznając nieco bliżej ziomków z obszernością ich i treścią.

Szafarzyk, podobnie jak najgłośniejszy idei słowiań-

skiej apostoł, Kollar, nie był z urodzenia właściwie Czechem, lecz Słowakiem, z należącego do Węgier tatrzańskie pogórza. Przyszedł na świat 13 maja 1795, we wsi Kobelarz, gdzie ojciec jego był duchownym ewangelickiego wyznania. Początkowe wychowanie odebrał na mniej znacznych gimnazyjach w Rożnawie i Dobrzyni, uczęszczał następnie na akademię w Keszmaroku, słuchając obok teologii, której poświęcić się zamyślał, filozofii i wykładu węgierskiego prawa. W r. 1815 udał się dla dalszego wykształcenia do Jeny, zkad powróciwszy najprzód prywatnym był nauczycielem, potem otrzymał professurę przy gimnazjum serbskim w Nowym-Sadzie, nad Dunajem. W r. 1833, opuściwszy posadę nauczycielską, odtąd wyłącznie poświęcił się badaniom nad językami i starożytnościami słowiańskimi, tudzież zostającym z nimi w związku pracom, zamieszkując stałe w Pradze. W 1837 sprawował przez czas niejaki obowiązki cenzora ksiąg czeskich. Powołany w r. 1842 do Berlina, na profesora języków słowiańskich przy uniwersytecie tamecznym, odmówił objęcia tej posady, ażeby pozostać w mieście ogniskiem słowiańskiego ruchu podówczas będącym, gdzie oprócz pracy piórem, obszerne do działania słowem i przykładem otwierało się pole. Wkrótce potem otrzymał posadę kustosa biblioteki uniwersyteckiej, której następnie, w 1848 r., został bibliotekarzem. W ostatnich latach życia, dotknięty słabością mózgu, która go wreszcie o śmierć przyprowadziła, mało lub wcale nie mógł zamilowanym oddawać się pracom. Umarł w 66 roku życia, dnia 26 czerwca.

Z pierwszą literacką pracą wystąpił Szafarzyk bardzo wcześnie, jeszcze w studenckich swych latach. Był to zbiór pieśni p. t. „Tatraska musa s lyrou slowanskou“, który jednak, jak tyle innych młodocianych próbek, utonął w zapomnieniu fali. W latach 1823 i 1827 wydał wespół z Kollarem zebrane pomiędzy ludem słowackim w Węgrzech pieśni gminne, p. t.: „Pisnie swietske lidu slowanskeho w Uchrzich“, wkrótce zaś potem, w 1831, przekład Szyllerowskiej tragedji: „Marje Sztuartka“. W latach 1834 i 1835 redagował bellétrystyczno-naukowe pismo p. t. „Swietozor“.

Najznakomitszym dziełem Szafarzyka są: „Słowanske starozitnosti“, ogłoszone w r. 1837, które zwróciły na autora uwagę nietylko wszystkich słowiańskich, ale i innych krajów uczonych, zaszczytne pomiędzy nimi czyniąc mu stanowisko. Wkrótce też potem uczone towarzystwo pod nazwą Muzeum królestwa czeskiego w Pradze istniejące, powierzyło mu, dotychczas przez Palackiego sprawowane, obowiązki redaktora swego Czasopisu, które Szafarzyk od 1828 aż do 1843 spełniał gorliwie i zaszczytnie. W 1842 ogłosił drugie dzieło „Słowanski Narodpis“, z pracowicie i sumiennie wykonaną kartą, zaznaczającą siedziby słowiańskich plemion i ich z obcymi narodami granice; w 1845 zaś wzbogacił filologią słowiańską dwiema pożądanymi pracami p. t.: „Początkowe staroczeske mluwnice“, i „Wybór z literatury czeskiej“, od najstarszych czasów, aż do początków XV wieku. W 1851 staraniem Szafarzyka wyszedł ważny dla historii prawodawstw słowiańskich zbiór dyplomatów p. t.: „Okazyk obczanskeho pisemnictwi“, pomiędzy innymi starożytny serbski mieszczący w sobie statut.

Prócz tych prac i licznych naukowych rozpraw w języku czeskim, ogłoszonych w różnych pismach czasowych, a osobliwie w czasopiśmie Muzeum, wydał także Szafarzyk kilka cennych prac, słowiańskiej literatury i historii dotyczących, w niemieckim języku. Najpopularniejszą, najpowszechniejszą interesu z między nich dziełem jest historia literatury słowiańskich narodów, p. t. „Geschichte der slavischen Literatur, nach allen Mundarten.“ Dwie inne niemieckie prace Szafarzyka, noszące tytuły: „Aelteste Denkmäler der böhmischen Literatur“, tudzież „Serbische Lesekörner“, wysoce przez uczonych cenione, objaśniają szczególne dwóch tych języków pomniki. Wreszcie w czasopiśmie niemieckim p. t. „Wiener Jahrbücher“ pomieszczał niezamordowany czeski badacz wiele interesujących o starożytnościach słowiańskich rozpraw.

Jakkolwiek początkowe prace Szafarzyka zdawały się poetyczny umysł zdradzać kierunek, następne dzieła jego świadczą najwymowniej, że zbywało mu na wszelkich poecie właściwych przymiotach i że zapewne tylko przykład rówieśników wwiódł go czasowo na to zwykle młodocianych usiłowań pole. Jak w powyższym wyliczeniu widzieliśmy, większa ich część jest raczej pracy i szperań, niż twórczej myśli owocem. W najbardziej samodzielnych nawet jego pracach, naprózno byśmy szukali tej pewnej żywości wyobraźni, której najgruntowniejsze nie wyłączają badania, tej bystrości poglądu, jakie zalecają na przykład uczone zaciekania się Lelewela, Maciejowskiego, Palackiego. Spokojna rozważa, gruntowna nauka, su-

miennosc i niezamordowana praca, oto są przymioty którym zmarły wysokie stanowisko, jakie w świecie uczonym sobie zjednał, zawdzięcza. Z religijnym poświęceniem i wytrwaniem, w początkach trudnego zawodu walcząc nieraz z niezliczonymi przeszkodami i niedostatkami, gromadził on i przygotowywał materiały, z których w bezpiecznym zaufaniu korzystać będą twórcze zdolności najdalszych pokoleń, a przykładem swym niezrażającą się trudnościami pracy dla przyszłości, prawością charakteru, prostotą i serdecznością obejścia, wpływał przeważnie przez życie całe na pomnożenie i utrzymanie zastępu pracowników odradzającej się z wiekowego grobu literatury czeskiej. Zaiste więc dobrze i sprawiedliwie zasłużył sobie na tę sławę, jaką cieszył się przed zgonem i jaka pod nim w długie przetrwa lata.

Hieronim Strojnowski.

(Dokończenie)

W ogólności duchowieństwo wiele na tém urządzeniu systematu akademickiego straciło; ustawa nowa całkowicie zniszczyła jego wpływ na edukacyę, a przecie, jako ważnemu w społeczeństwie polskim żywiołowi, i duchowieństwu głos się należał. Zle kiedy ten głos jest przeważny, jak to było za czasów jezuitów, staropolskich, ale usuwać go nie można, bez narażenia się na jednostronność. Biskup wileński był dawniej kanclerzem akademii, teraz stracił swoją dostojność; wydział teologiczny rozwiązano, a profesorów wcielono do innego wydziału nauk moralnych i na przyszłość uniwersytet mógł ich tylko wybierać. 12 najbogatszych probostw w dyecezyi wileńskiej, 14 kanonij wileńskich, 4 żmudzkie i suffraganię trocką przeznaczono na posag uniwersytetu; było to bogactw jednych, kosztem drugich. Emeryt duchowny brał przez to daleko więcej jak świecki. Dochody wszelkie składano do kasy uniwersyteckiej i zarówno pomiędzy wszystkich je dzielono.

Utworzył Strojnowski, zamiast wydziału teologicznego, seminaryum główne przy uniwersytecie i przeznaczył na nie fundusz 150,000 rsr., które złożyć musiały klasztory. Seminaryum to nie podlegało także władzy biskupiej, dlatego żeby rektor w wydziałach akademickich również był samowładnym panem, jak i w gronie młodych kapłanów. Obwarowano prawem, że za lat dziesięć nikt nie może być biskupem, prałatem, kanonikiem, kto nie skończy nauk w seminaryum głównym. Naturalnie że takimi reformami obraził na siebie duchowieństwo wyższe, chociaż zyskał poważanie u władzy i w towarzystwach uczonych. Chciał podnieść w uniwersytecie wszystkie nauki i osadzić zdaniem profesorami katedry; wielu starych członków, z postępami nauk nieobeznanych, z miejsc ruszył; zasłużonych osadził na dyrektorstwach po gimnazyjach, n. p. Zyckiego. Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk i wolne ekonomiczne w Petersburgu obrały go swoim członkiem. Sława akademii wileńskiej rozeszła się szeroko: korrespondowała z Edyburgiem, z Lipskiem, nawet z Filadelfią (Gazeta literacka wileńska, 1805 nr. 23).

Szczególniej książę kurator brał do serca te nowe prace Strojnowskiego. Przedstawił więc księdzu Cieciszowskiemu, senatorowi jeszcze za czasów rzeczypospolitej, biskupowi łuckiemu, żeby jako mąż latami i pracą strudzony, wziął go sobie za koadjutora, to jest za pomocnika w zarządzie dyecezyi. Narzucanie się to ze Strojnowskim, niemile dotknęło biskupa. Nie chciał robić swoim krzywdy; pomimo więc usiłowań księcia, senatu i zabiegów samego Strojnowskiego, projekt odrzucił. Znalazły się przeciw silniejsze stosunki. Rosnął wtedy wielkim poważaniem u dworu Waleryan Strojnowski, rodzony brat księdza rektora, podkomorzy buski i sławny mówca sejmowy z czasów rzeczypospolitej. Znakomity podówczas ekonomista i prawnik, pisał dzieła, które Bazyli Anastasiewicz tłumaczył na język rossyjski i sławę jego roznosił. Za chwilę miał zostać senatorem cesarstwa. Nazwisko Strojnowskich z wielu względów znane było i u tronu, więc biskup Cieciszowski w końcu ustąpił.

Strojnowski złożył wtedy (r. 1806) rektorstwo, które przez lat siedm piastował, a rada uniwersytecka postanowiła powiesić w sali posiedzeń portret jego, malowany przez Peszkę, na pamiątkę. Rektorstwo po nim objął Jan Śniadecki.

19 stycznia 1806 r. wyswięcił Strojnowskiego Cieciszowski w Łucku na biskupa lambezytańskiego, a tém samem zrobił go swoim koadjutorem w dwóch kanonicznie połączonych z sobą dyecezyach: łuckiej i kijowskiej czyli żytomierskiej. Jednym z spółkonsekratorów przy tym pobożnym obrzędzie był ruski unicki biskup łucki, Stefan Lewiński. Zabawił chwilę Stroj-

nowski na Wołyniu. Cieciszowski miał z niego pociechę, bo aczkolwiek kortezan, umiał postawić się na właściwym stanowisku. Był dla biskupa z całą wdzięcznością i posłuszeństwem. Łagodny i wyrozumiały, szanował ludzi i starość zacnego męża. Podczas tego pobytu na Wołyniu, zostawił ostatni już ślad swojej literackiej działalności. Drukował jednocześnie w Warszawie i w Wilnie swoje „Mowę przy rozpoczęciu lekcji prawa w gimnazjum wołyńskim.“ Wydania te obfitują w moc błędów drukarskich wszelkiego rodzaju, warszawskie lepsze. Zdaje się że wileńskiego sam pilnował, bo w lutym 1806 r. egzemplarz mowy posyłał przy liście z Wilna do Krzemienia Antoniemu Jarkowskiemu. (Atheneum Kraszewskiego, tom V, Listy.)

Powołany został wtedy nagle do Petersburga na członka kolegium rzymsko-katolickiego, w skutku usunięcia przez ukaz z dnia 7 sierpnia Szantyra i Stankiewicza. Nie był wysłany na trzechlecie, jak zwykle, bo w niewłaściwym czasie, ale dla dopełnienia trzechlecia po usuniętych członkach. Reprezentował w kolegium kapitułę łucką. Jako najstarszy członek dostojnością, był przez lat kilka prezesem i umiał utrzymać się na swoim stanowisku z przyzwoitą godnością. Sam wygotował projekt, żeby nadal kolegium składało się z samych biskupów, ale nie utrzymał się ten wniosek.

Tymczasem w październiku 1808 r. nastąpiła za granicą śmierć Kossakowskiego, biskupa wileńskiego. Kapituła w ciągu ośmiu dni, w których się o tym dowiedziała, obrała prawnie administratorem biskupstwa księcia Nikodema Puzyń. Nie podobało się to metropolicie Bohuszowi Sistrzenczewiczowi. Myślał o tym już dawno, jak swoje arcybiskupstwo mohilewskie osadzić w Wilnie; teraz dogodna do tego nastąpiła sposobność. Wpierał więc w kapitułę, że późno przystąpiła do elekcji administratora, i że dlatego prawo jemu służy do rozporządzenia biskupstwem. Strojnowski tymczasem mianowany był biskupem wileńskim. Nastąpiła kolidacja praw i władz, walka wybuchła o zasady. Sistrzenczewicz, ustępując, działał przeciw kapitule: powierzył mu własną mocą urząd administratora dycezyi. Strojnowski, nieobeznany z prawem kościelnym, źle się także wziął do rzeczy; przysłał drukowany po polsku rozkaz metropolity z Petersburga i domagał się władzy. Na sessji nadzwyczajnej kapituły zrzekł się wtedy swojego wyboru Puzyń, a Strojnowski obrany. Tak naprawiła się przez krok prawny kapituły, nieprawność zamachu na jej władzę. Poznał się na tym Strojnowski, i na jego korzyść powiemy, że szczerze przyznawał się do błędów i żałował. Nie mógł zaraz zjechać tam do dycezyi, ale ustanowił zastępców biskupich i kilka razy ich zmieniał; przy konsystorzu i officyale zostawił tylko władzę sądową. Dopiero kiedy upłynęło trzechlecie w kolegium, Dunin zajął jego miejsce w Petersburgu i Strojnowski był przez to wolniejszy.

Będąc administratorem wileńskim, Strojnowski wykonywał jeszcze swoje dawne rozporządzenia względem akademii. Żeby powiększyć fundusz emerytalny, dwunastu probostw nie obsadzał, ale poddał je w administracyę. Uniwersytet nie miał tylu emerytów, więc literatów w ogóle, nie profesorów nawet, albo ludzi mających poparcie u kapituły wileńskiej, narzucał biskupom na pasterzy do dycezyi; obcy dostawali chleba, jakiego dla swoich nie starczyło. Sam hojnie używał swoich intrat, ale w doborze osób mniej szczęśliwy, nie miał zbyt wielkiej powolności u duchowienstwa, które się gniewało bardzo na jego miłość dla akademii. W jednym seminaryum dobrze się wiodło, ale prawda że wybór rektora, ks. Kłagiewicza, był szczęśliwy. Gdyby to chybiło, byłaby większa przed potomnością odpowiedzialność Strojnowskiego. Poznał się i sam na swoich błędach, ale już było za późno.

Wojnę 1812 r. Strojnowski przesiedział w Petersburgu, a w 1814 roku przeniósł się do Wilna, tym bardziej, że papież mianował go biskupem. Z urzędu został prezesem Towarzystwa dobroczynności. Tymczasem bulla się opóźniła cokolwiek i Strojnowski gotował się odbyć uroczysty ingress do katedry wileńskiej, jako Hieronim I tego imienia biskup, kiedy nagle wśród wielkich zachodów umarł dnia 5 sierpnia 1815 r. w folwarku swoim Elnokumpiu, który należał do probostwa św. Jana. Rządził dycezyą wileńską lat siedm. Mowę na jego pogrzebie w Wilnie miał professor wymowy ks. Golański, (wyszła z druku). Zwłoki przeniesiono, według ostatniej woli zmarłego, do Horochowa, do brata, senatora Waleryana, i złożono je tam w grobie familijnym. Galeria obrazów dostała się w spadku bratu, a potem przez jego córkę przeszła w dom Tarnowskich. Szczupły majątek, który po nim został, przeszedł również drogą spadku w ręce

brata; śmierć jedynie temu przeszkodziła, że nie zapisał go, jak miał pierwotnie zamiar, na kościoły.

Późno już pomyślała akademia o uczczeniu pamięci Strojnowskiego pomnikiem. Składki, które wynosiły złp. 4175 gr. 22, zbierał professor Jan Znosko, roku 1827—1828. Plan skreślił prof. Karol Podcażyński, popiersie wykonał prof. Jelski. Tablicę żelazną z herbem ofiarował kanclerz Adam Chreptowicz. Pomnik wzniesiono w kościele akademickim św. Jana, po lewej stronie od wejścia w dziedziniec, niedaleko zakrystyi; poświęcono go 10 listopada 1828 r. Jest to płaskorzeźba, składająca się ze czterech pilastrów, po parze sprzężonych płatkami, których obiedwie pary łączy sklepienie łukowe. Wszystko to osadzone na ciągłej podwalinie, sięgającej pawimentu kościelnego. Dwaj aniołowie gaszą pochodnię życia, obok nich łzawice i dwa wielkie świeczniki, jako godła dostojenstw biskupa i rektora uniwersytetu. W środku marmurowa biała płyta, na której następnym napis łaciński złotymi literami:

D. O. M.

Hieronimo Comiti Strzemię Strojnowski, Episcopo Vlnensi, ord. S. Annae et S. Stanisłai I. cl. equiti, Scholarum per Lithuaniam moderatori, antecessori et academiae Vlnensis rectori, e vivis erepto A. 1815 d. 5 Aug. aetatis 62 anno, generis nobilitate, morum integritate, comitate, eloquio ac doctrina perspecto, Litterarum incrementis nato, earumque amore nulli secundo, de Academiae vero, dum Alexandri primi munificentia eadem instauraretur et augetur, immortaliter merito, collegae civisque, tantae virtutis memores, aere collato cenotaphium hocce posuere. Anno 1828.

Nad płytą, w zagłębieniu wyłożonem konchą, mieści się popiersie biskupa, pod płytą herb jego Strzemię, odlany z surowca żelaznego w fabryce wiszniońskiej Chreptowiczów. (Opis nagrobku w „Przechadzkach po Wilnie Kirkora“ str. 41—42.)

Julian Bartoszewicz.

WIGRY.

W gubernii augustowskiej do najpiękniejszych miejsc godnych badania należą Wigry, dziś kościół ze śladami swej dawniej wspaniałości, resztki kamedulskiego eremu, wielkie jezioro i lasy dokoła.

Pierwszmi mieszkańcami na tej wyspie byli dwaj pustelnicy, których Jagiełło, polując w sąsiedniej puszczy Uhoł zwaną, na chwilę odwiedził i zachęcił, aby przybrawszy do swego towarzystwa więcej ludzi równie jak oni pobożnych i gardzących światem, tu zbudowali kościół i klasztor, celem chwaleń Boga i służenia ludziom. Od tej chwili poczyna się historia tego ustronia, będącego dotąd niedostępną siedzibą dzikich zwierząt, jako to żubrów, łosi, dzików i różnego ptactwa, a twórcami tej historii są ojcowie kameduli, którym te miejsca wszystko zawdzięczają.

Nazwisko Wigier, jak podanie niesie, pochodzi od wyrazu litewskiego *wiraj*, mężowie, którego Jagiełło podczas rozmowy z pierwszymi pustelnikami często używał, co słysząc dworzanie wyspę nowo odkrytą przezwali Wiry, z czasem zaś wyraz ten przekształcił się w Wigry. Pod tym imieniem znana była na całą Litwę pustelnia wyznawców reguły św. Pawła, z której rozchodziło się światło na cały lud pogański nawracający się do prawdziwego Boga; jednak dużo lat upłynęło, nim pierwsza myśl Jagiełły, co do zbudowania tu kościoła i klasztoru, przyszła do skutku, bo dopiero w XVII wieku, za zezwoleniem Władysława IV, ojcowie kameduli, chętnie zasiedlając sobą okolice odludne i gluche puszcze, przybyli w te miejsca i pełni wytrwania, zapału do pracy i wiary w swe cele, z łatwością potrafili obok chatki pustelniczej zbudować małą kaplicę, połączyć puszcze z wyspą czarną groblą i zbudować most na rzece Hańczy czarnej, której wody wpływają w wigierskie jezioro. Gdy te pierwsze, przygotowawcze czynności były skończone, kameduli, zamyślając o budowie kościoła i klasztoru, dla osiedlenia na czas jakiś w tym miejscu licznych rzemieślników, założyli nad brzegiem jeziora wioskę św. Magdaleny i Burdyniszki. Trzeba było zapału i wytrwania tych zakonników, aby rozpoczęte dzieło przyprowadzić do skutku; cała wyspa w miejscach gdzie budowle stanąć miały była błotnistą, potrzebowała więc poprzedniego osuszenia, a następnie pokrycia nową warstwą nawiezionej ziemi; drzewo należało sprowadzać z puszczy, bo klasztor, kościół, śpichrze i t. p. zbudowane zostały z świerku i sosny, a sama wyspa mogła dostarczyć tylko dębów, grabów i innych drzew liściastych. Grobla wykończona dziś jeszcze jest przedmiotem godnym zastanowienia i świadectwem niezłomnej wytrwałości zakonników; kanał wreszcie przekopany przez groblę i most na

nim zwodzony, dopełniły fundacyi, wzniesionej pracą zakonników i licznymi ofiarami litewskiego ludu.

Wigry od tej chwili stały się miejscem znanem całej Litwie i Polsce. Kameduli w krótkim czasie zaskarbili sobie miłość u ludu; zamożność też ich, skutkiem licznych ofiar, rosła z dniem każdym, i gdyby nie kłeska zaraziłwej choroby i głodu, jaka padła na Litwę, gdyby nie srogi pożar, w którym kościół i klasztor, wzniesione trudem zakonników, zamieniły się w popiół, bogactwa ich, tak sławne niedługo potem, daleko prędzej i wspaniałej upiększyłyby pyszną fundacyą odludną wyspę.

Lecz dla mądrych i litościwych zakonników i te nieszczęścia posłużyły do zaskarżenia sobie miłości u ludu i względów u króla. Podczas gdy głód trapił okolice, kameduli wysyłali na łódkach z klasztoru żywność, a sami spieszyli z pomocą duchowną, za co też potem doznali w swych pracach ogólnej pomocy i wielkiego współczucia, a Jan Kaźmirz, dobrze o nich uprzedzony z tych chrześcijańskich uczynków, potwierdził nadanie im wyspy wraz z jeziorem, powiększył ich posiadłości częścią puszczy Uhoł i dozwolił w lasach królewskich urządzić trzy budy potażowe, na wyłączny dochód oo. kamedulów.

Tu widzimy przemysł rozwinięty bardzo wysoko. Zakonnicy, sprowadziwszy z Mazowsza umiejętnych potażników, założyli trzy budy, z czasem pomnożone do liczby ośmiu, wyrabiali znakomitą ilość potażu i popiołu i to wszystko Niemnem do Kłajpedy, a następnie do Anglii odsyłali. Przemysł ten był głównym źródłem dochodów wigierskich i zakonników po pewnym czasie postawił w takiej sile, że mogli pomyśleć o odbudowaniu kościoła i klasztoru, i na ten cel sprowadziwszy z Anglii, Włoch i Prus licznych a wydoskonalonych rzemieślników, przystąpili do dzieła.

Przedewszystkiemi całą wyspę uporządkowano i nie naruszając kształtu pięciu gór, opasano ją grubym murem, wysokim na kilka sążni; naokoło tego wału zbudowano liczne sklepy, a nad niemi gmachy klasztorne. Ważniejszemu jednak daleko dziełem był erem, złożony z dziesięciu domków, z tyłomaż kapliczkami, z pięknymi ogródkami i z niezrównanym widokiem na rozległą okolicę. Przy wjeździe na wyspę wymurowali wysoką wieżę, na której głośny zegar słyszalnym był nawet dla oddalonych na milę mieszkańców.

Na najwyższej górze stanął kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P. Zbudowany w kształcie krzyża, gustem i bogactwem równał się najwspanialszym świątyniom Polski i Litwy; mur kościelny był na dwa łokcie gruby, dach i wieże pokryte miedzią, ozdoby godne ręki artysty, a marmur, złoto, alabaster, hojnie tak zewnątrz jak i wewnątrz zdobiły świątynię.

Ta cała fundacya, oprócz tego że wspaniale przyozdobiła wyspę, przyczyniła się niemało do rozpowszechnienia po Litwie dobrych rzemieślników, a w części i artystów; bo kameduli, pomiarkowawszy się że budowanie wszystkiego ręką cudzoziemców wymaga ogromnych kapitałów, wybrali z miejscowej ludności co najzdutniejszą młodzież i tę oddawszy pod kierunek sprowadzonych Włochów i Anglików, przysposabiali na ludzi użytecznych swemu krajowi. Z pomocą też wyłącznie tych nowo wyuczonych majstrów budowanie zostało dokończone.

Bardzo piękne i miłe robi wrażenie wspomnienie domku zwanego kaplicą kanclerską, który zbudowany niedaleko od kościoła, był przytulkiem magnatów, co sprzykrzywszy sobie zgiełk świata, w ciszy klasztornej pragnęli spędzić resztki żywota. Taki odpowiednik, w ustroniu poświęconem chwale Boga, godny był ludzi, którzy całe swe życie spędzili w usługach krajowi; takie samotne rozmyślanie pozwala i za życia spojrzeć w niebieskie światy.

Dostatki kamedulów rosły potężnie, lud znosił drobne lecz liczne ofiary, magnaci czynili znakomite zapisy w gruntach, puszczech lub prosto w pieniądzach. Za rządów pruskich do tego doszło znaczenie tej ubogiej początkowo osady, że dobra wigierskie stanowiły oddzielny powiat wigierski, graniczący z powiatem kalwaryjskim, z Niemnem i z powiatem biebzańskim, a same Wigry wznosiły się jak warowna stolica udzielnego księcia.

Ta zamożność zakonników razila oczy niektórych zazdrosnych lub zgorszonych zbyt wygodnym życiem ubogich sług Boga: liczne głosy podnosiły się przeciw zakonnikom, a za Stanisława Augusta wyszła nawet broszura „Cygan enotliwy“, w której całemu duchowienstwu i wigierskim kamedulom nie przepuszczono. W tej broszurze wyrachowano, że na każdego kamedulę przypada z poddanych klasztornych więcej niż sto pracownika; że za liczne sprzedaże produktów, ogromne skarby powinny być już zbierane; w końcu autor radzi zakonnikom wszystko odebrać, skarbami potrzeby kraju zaspokoić, a kamedulom wyzna-

czyć tylko tyle, ile dla prawdziwych pustelników potrzeba.

Jest dziś w powiecie kalwaryjskim familia Kiewliczów, której przodkowie, niegdyś magnaci, toczyli zajadły proces z kamedulami wigierskiemi. W nadaniach Jana Kaźmirza dla wigierskiego klasztoru zostały pomieszczone dobra Surpiły, jako stołowe królewskie, gdy tymczasem Surpile, mające 400 włók gruntu i 7 jezior, przed kilku wiekami kupione były przez Kiewliczów od książąt litewskich za pięćdziesiąt tysięcy kop groszy. Takowe téż, pomimo licznych zmian, niepowodzeń, pomimo upływu kilkunastu pokoleń, nigdy nie wyszły z rodziny Kiewliczów, na co ciż posiadali różne przywileje i potwierdzenia królów.

W końcu dopięro, za panowania Jana Kaźmirza, Kiewliczowie tak zubożeli, że prawo swoje na posiadanie Surpił zastawili za sto złotych u Jerzego Zembockiego starosty augustowskiego, od którego znowu kameduli ten zastaw nabyli. Swoją jednak drogą Władysław Kiewlicz Surpiły przekazał testamentem Micucie staroście sumiliskiemu, pułkownikowi województwa brzeskiego, i to dało powód do procesów z kamedulami. Familia Kiewliczów przez ciąg panowań Augusta II, III i Stanisława Augusta, po sądach popierała swe pretensje do Surpił, będących w posiadaniu zakonników wigierskich, lecz zawsze bezskutecznie. Nawet jeszcze w roku 1829 Kiewliczowie wystąpili z żądaniem do rządu o zwrot dóbr, składających się z 51 wsi i miasta Suwałki, oraz o sumę 2,000,000 z pol.; lecz wszelkie ich pretensje, dokumenta i dowody sięgają

ce czasów Giedymina, uznane zostały za niedorzeczne, nieważne i podrobiane.

Z téj sprawy widzimy, jak kameduli byli napastowani i jak praw swych bronić potrafili; nie zasypiali oni gdy szło o własny interes, trafili zawsze do tronu, gdy na nim zasiadł nowy król, i uzyskali powiększenie lub potwierdzenie dawnych przywilejów. I tak

ni, kameduli pozaprowadzali huty żelazne, które dziś znane są z imienia, jako to: Maćkowa ruda, Piecysko, Hutta, Rudka, Rudnik, Stary piec i t. d.; pozasadzali najpyszniejsze ogrody, w których rosły wyborowe drzewa owocowe, szczepy winne, kwiaty zagraniczne i w ostępie ze starodrzewem, oparkanionym dokoła, utrzymywali wilki, lisy, niedźwiedzie i t. d., dla łosi zaś, jeleni, zająców, urządzony był przy ogrodzie zwierzyńiec.

Dziś wszystko znikło, a kościół zniszczony, mury rozwalone, są świadkami bogatej przeszłości. Wnętrze dzisiejszego kościoła, zupełnie zaniedbane, odznacza się jeszcze śladami sztuki, z których ważniejszy jest obraz Wniebowzięcia N. M., św. Benedykta i Kaźmirza królewicza. Było tu więcej obrazów dobrego pędzla, a szczególnie Smuglewicza, przedstawiających sceny z życia św. Benedykta i św. Scholastyki, podobne do znajdujących się w świętokrzyskim klasztorze na Łysiej górze, lecz przeniesione zostały do innych kościołów.

W podziemiach kościoła spoczywa biskup Karpowicz, sławny w swe czasy kaznodzieja.

Kto opuszcza te miejsca, ostatnie spojrzenie zostawia na jasnym jeziorze, któ-

rego wody rozlewają się malowniczo. Niegdyś wigierskie jezioro sławne było najprzedniejszymi gatunkami ryb, hodowano w niem bowiem karpie, liny, łososie, gdy w rzece Hańczy łowiono węgorze, szczupaki, sumy, pstragi. Dziś sielawy i sieje, podawane niegdyś tylko na stoły królewskie, są osobliwością jeziora; szczególnie te ostatnie tylko tu się znajdują i to w bardzo małej ilości. O początkowym zaprowadzeniu siei w wigierskim jeziorze istnieje następujące podanie.

Pewnej ciemnej nocy zakonnik, z Włoch rodem, chodząc po swojej celi, przemyślał nad sposobem jakimby można w wigierskim jeziorze zaprowadzić smaczną rybkę, którą się delectował w dalekiej ojczyźnie. Podczas tych gastronomicznych medytacji, za uderzeniem na wiezowym zegarze godziny 12, spo-

(Ob. Dod.)

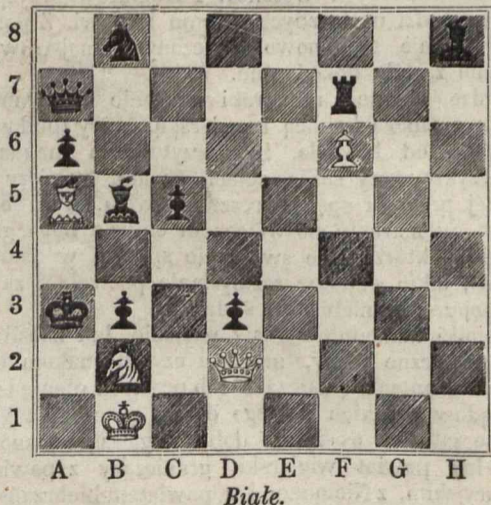


WIGRY ZE STRONY PÓŁNOCNO-ZACHODNIEJ. (Rysował z natury Zdzienicki.)

SZACHY.
ZADANIE LXXIV.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 73.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------|-------------------------|
| 1) G7 — E7+ | 4) H7 — E7 biorą |
| 2) B7 — C6+ | 2) E6 — E5 |
| 3) C3 — C4+ | 3) A7 — D4 |
| 4) F3 — F5+ | 4) E5 — F5 biorą |
| 5) C6 — G6+ | 5) F5 — E5 |
| 6) G6 — F6+ | 6) E5 — E4 biorą |
| 7) F6 — F4+ | 7) E4 — F4 biorą i mat. |

Gdyby król czarny w piątym posunięciu cofnął się na F4, wtedy królowa biała szachuje go na G5 i zakończy grę tak samo.

przywilej na wyspę, leśnictwa przelomskie i parsztuńskie, wsie, folwarki i lasy, nadany przez Jana Kaźmirza za konsensem papieża Klemensa X i Aleksandra Sapię biskupa wileńskiego, za który zakonnicy mieli odprawiać mszę za króla, królową Maryą Ludwikę i za królewicza Karola, został potwierdzony przez Michała Korybuta i przez dalszych następców; August II na sejmie r. 1717 uwolnił klasztor od kwaterunku i przechodu wojsk i w r. 1715 wydał zakonnikom nowy przywilej fundacyjny, ponieważ oryginał się spalił; konstytucya zaś sejmowa z r. 1726 przywilej ten potwierdziła.

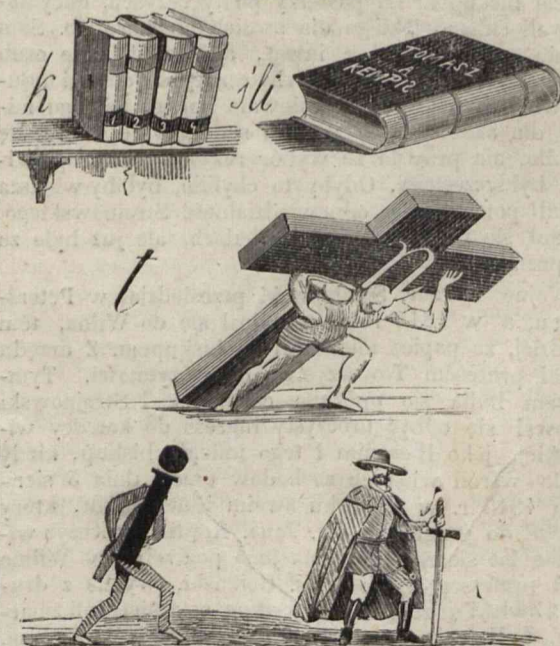
Na jednym z filarów dzisiejszego wigierskiego kościoła jest obraz przedstawiający chwilę, w której król Władysław IV, powstawszy z tronu, zezwala na prośbę zakonników co do nadania wyspy Wygry klasztorowi. W dziewięć lat przeszło potem następcy tych pierwszych pustelnicznych sług Boga, zebrawszy się w komplecie na klasztornej refektarzu, usłyszeli wyrok wygnania. Za rządów bowiem pruskich, gdy projektowano w części odpadłej od dyecezyi wileńskiej, utworzyć dyecezyę oddzielną, za poradą Michała Franciszka Karpowicza biskupa in partibus, Wigry przyznane zostały na rezydencyę biskupią, co jednak w wykonanie weszło dopięro po kilku latach. Kameduli, oddawszy kościół, klasztor i wszystkie swoje skarby, ze łzami w oczach i z żalem głębokim w procesyji wyszli za bramy swego ustronia, a następnie odwiezieni do rzeki Netty, wodą przybyli do Bielan pod Warszawą.

Biskupstwo wszakże uposażone było nie wszystkimi dobrami dawnych zakonników, lecz tylko wyspą Wigry, oraz pensją roczną w ilości 4,000 talarów.

Niedługo jednak Wigry były siedzibą biskupa i kapituły, bo po śmierci Karpowicza, za zgodą Piusa VII, katedra w r. 1823 przeniesioną została do kościoła sejneńskiego, poczem w Wigrach utworzono probostwo, gdy z posiadłości niegdyś kamedulskich dziś powstało aż sześć nowych parafij: Jeleniew, Kaletniki, Krasnopol, Suwałki, Szczebra i Teolin.

Tak więc z przeszłości tego wspaniałego ustronia, historia zakonników ma najpiękniejszą kartę i wspomnienie ich nadaje głównie wartość Wigrom. Najprzód pracując około dusz ludzkich, wywiązywali się ze swego apostołskiego charakteru; potem, nie żałując pracy około zajęć doczesnych, wpływali niemało na podniesienie przemysłowej kultury w tych stronach. Oprócz licznych rzemieślniczych warsztatów i potaż-

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 95.

Kto sieje jarki tatarski a krowami orze,
Tego nie pytaj o zdrowie, ale czy żyjesz nieboże.
(Dodatek.)

strzeżę przed sobą diabła elegancko wyfraczono, który z całą gotowością ofiaruje mu swe usługi.

— Czego żądasz, szatanie? zapytał zakonnik.

— Duszy szanownego ojca dobrodzieja, za którą sowicie zapłacę, odpowiada diabeł, bynajmniej nie zmieszany ponurym spojrzeniem kameduły.

— Szatanie... powtórzył pobożny zakonnik, i już diabeł chciał odstraszyć znakiem krzyża świętego; ale nagle pomyślał o ulubionej sobie i poczuł w sobie jakąś zdolność i wiarę, któremi nawet diabeł zdoła w pole wyprowadzić. Rzekł też po chwili:

— Dobrze, masz moją duszę, którą weźmiesz z wieży kościoła, jeżeli dziś jeszcze z jeziora włoskiego przyniesiesz się i zarybisz nią węgierskie wody.

— To bagatela, krzyknął diabeł, zakasał fraczka i do Włoch poskoczył.

Zakonnik tymczasem, uzbrojony w święconą wodę, udał się na wieżę kościoła i przytulił się do zegara. Ażeby odpędzić wrażenia tłoczące się wśród ciemnej nocy do przerażonej myśli, zaczął gorąco odmawiać paciery. Dopiero w pół do pierwszej było na zegarze, a więc jeszcze pół godziny szatan był panem świata. Nagle zakonnik posłyszał szmer niezwykajny w powietrzu; przeraził się, lecz nie straciwszy przytomności, posunął skazówkę zegara na 15szą, i gdy szatan już miał wlecieć do wieży i łapą dosięgnąć zakonnika, złowrogi głos zegara rozległ się w powietrzu. Wówczas szatan spłoszony, zgrzytnął zębami, skrobnął pazurami po kościelnej wieży i upuściwszy w jezioro przyniesioną z Włoch sieję, sam rozlał się w czarną kurzącą się smołę. Dzięki więc dowcipowi zakonnika, węgierskie jezioro sławi się osobliwym gatunkiem zagranicznej ryby.

O wystawie obrazów towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie.

Podobnie jak na giełdzie kurs papierów bywa niestacyczny, podnosząc się lub zniżając, często dla nieodgadzionych przyczyn, tak i zajęcie się publiczne tym lub owym przedmiotem podlega tej fluktuacji. Przed kilką laty wszystko kłęło się i przysięgało w imię sztuk pięknych; nie było dziennika, żeby kilka razy na tydzień nie spalił szczypty kadzidła na cześć jakiejś primadonny, jakiego Rafaela wykluwającego się z pieluch, lub przyszłego Torwaldsena, modelującego z giny wizerunek jakiego genialnego poety. Zdawało się że natchnienie i geniusz Italii przeniosły się pod nasze niebo, i że nam przybył nowy zmysł artystyczny, o którego brak pomawiano nas oddawna, chociaż żyliśmy, nie wiedząc że nam go brakuje. Tymczasem entuzjazm ten, jak wybuchnął bez wyraźnej i koniecznej przyczyny, tak znowu bez przyczyny zaczyna przemijać, nietyle w artystach, którzy zostają przy raz obranym zawodzie i robią widoczne postępy, ile w publiczności, obojętniejszej dla twórców pędzla i dłuta. Tegoroczna wystawa krakowska najlepszym tego dowodem, kiedy przez cały ciąg swego trzymiesięcznego trwania o dwie trzecie mniej ściagała widzów niż innych lat; nie dlatego zaiste, żeby nie było na co patrzeć lub co podziwiać, lecz że publiczność zaprzętały inne myśli w których mniej daleko brała udziału, niżby brać mogła w bezpośrednim stosunku do dzieł sztuki. Te nagle rozmiłowania się i ostygnięcia naprowadzają na myśl, że u nas wiele rzeczy idzie za modą. We fraszkach codziennych, drobnych upodobaniach, nic to nie szkodzi; lecz w rzeczach mających dać miarę o duchowej dojrzałości, wykazywałyby wadę organiczną. Jest jednak nadzieja że to zubożenie nie będzie chwilowym, przemijającym; inaczey bowiem przyszłoby bardzo ubolewać nad tylą młodymi ludźmi, poświęconymi zawodowi malarskiemu, gdyby w nagrodę swego talentu, pracy i nauki, nie znaleźli wśród swoich ani uznania, ani współczucia. Nie można też ani myśleć żeby sztuki piękne tam podnosiły się i kwitnęły, gdzie ogółowi wszystko jedno czy jest jakiś obraz, czy go niema; kilku bowiem miłośników i mecenasów, jak jedna jaskółka, nie stanowią wiosny, czyli mówiąc ściślej, nie dają przekonania że w publiczności wyrobił się zmysł artystyczny i ta potrzeba widzenia tego w plastyce, co wstrząsa i napełnia jej duszę. Czuję dobrze że ten rodzaj edukacji nie może być dziełem lat kilku i idzie mi tylko o to, żeby ciąg jej nie zrywał się bez potrzeby. Każdy bowiem nabytek prawdziwej cywilizacji, to jak dobroczynne światło, którego lekkomyślnie zdmuchiwać nie godzi się, już dla tego samego, że łatwiej zgasić jak zapalić.

Powiedziawszy tych kilka słów o stosunku publiczności do sztuk pięknych, wypada pomówić o nich samych, tak jak się na tegorocznej przedstawiły wystawie.

Zagraniczni artyści, Niemcy, Belgowie i Francuzi, zwyczajem swoim nadesłali dosyć, i to wcale niepoślednich obrazów. Szczególniej rodzajowa kompozycja p. de Loos z Brukselli, wyobrażająca dziewczynkę zawstydzoną po pierwszym kłamstwie i dziadunia dającego jej moralną przestrożę, zyskała poklask ogólny. Jest w tym małym poemacie z domowego życia tyle głębokiego uczucia i tyle prawdy, a w technice taka ścisła doskonałość, osiągnięta sumienną umiejętnością, że żaden z wystawowych obrazów nie może iść z nim w porównanie. Drogi ten obraz, jednak tylko na kasę towarzystwa sztuk pięknych, a nie w miarę swojej wartości, zakupiony został do losowania. Cieszymy się zatem że takie znamienie dzieło zapewne w kraju zostanie, i jak tyle innych, przyczyni się do zaszczepienia miłośnictwa sztuki. Również pięknością i efektem zalecający się pejzaż jest: Zawieja śniegowa w lesie, przez Kaufmana z Düsseldorfu, także krajobrazy Majerheima, Schmidta, Steinicke, Kreutzera i wielu innych. W historycznym rodzaju podoba się piękna kompozycja przedstawiająca św. Elżbietę, wypędzaną z zamku warburskiego po zgonie jej męża, Ludwika księcia Turynii. Wyraz okrutnego Henryka, uzurpatora dzielnic księżęcej, stojącego w bramie zamku i skazującego na wygnanie matkę z dziećmi, nader wymowny. Dla nieszczęśliwej wygnanki, pokornie ten cios znoszącej, obudza się na pierwszy rzut oka sympatyja. Obraz ten malował Oppenheim z Düsseldorfu. Paweł Thumann z Lipska nadesłał także piękny utwór przedstawiający śmierć Riccio, owego ulubionego lutnisty Maryi Stuart, którego u jej nóg zabijają. Z religijnych obrazów zasługują na uwagę: Schönhera Rodzina święta i Waltera Wniebowstąpienie Chrystusa; ostatni ma charakter obrazu przeznaczonego do kościoła. Towarzystwo sztuk pięknych, pamiętne na cel swój, zakupiło wiele z tych malowideł do losowania, raz że ceny są dość przystępne, po drugie że tym sposobem propaguje się smak ku utworom cechy doskonałej.

Polscy artyści nadesłali dosyć obrazów, które mogą iść w porównanie z zagranicznymi utworami, co wiele bardzo mówi na korzyść postępu jaki sztuka u nas od lat kilku robiła. Szczególniej krakowscy malarze młodzi, poczynający, zwracają na siebie uwagę. Miałoby to być skutek szczęśliwego wpływu, jaki ich oswobodził od smutnych teoryj ugniatających tyle przyrodzonych talentów od lat wielu? czy też wpływ wystawy, która otworzyła im oczy i przekonała, że co w Krakowie uchodziło za wyroczenie i umiejętności, gdzieindziej było nidorzecznością i nieuctwem? Wykurowani z systematycznie wszczepionej im zarozumiałości, zaczęli się uczyć na prawdę, będąc wspierani radami dzisiejszego nauczyciela w szkole sztuk pięknych, p. Łuszczkiewicza, który w tym nie małą ma zasługę, że zdolnościom dopomaga rozwijać się samodzielnie. Nad wszystkimi uczniami szkoły krakowskiej, wystrzelił p. Matejko; wprawdzie od kilku lat wyszedł on z niej i kształcił się już w Monachium, zawsze jednak wziął w niej początki. Postępuje on w sposób uderzający; po przeszłorocznej Bonie biorącej truciznę od Papagody, która miała strony dobre i ujemne w równej mierze, posunął się do sceny historycznej, prawdziwie Szekspirowskiej. Jest nią ta chwila, kiedy Wapowskiego kasztelana przemysłowego wnoszą przed króla Henryka, a Tęczyński staje przed nim z całą swoją partją i wskazując na konającego starca, domaga się kary na sprawcy tego gwałtu, Zborowskim. Król przerażony, potrwożeni jego Francuzi, jakby właśnie ten tumult nastawał na ich życie. Ruch ogromny; jednak mnóstwo to osób stłoczone jest w tak ciasny zakątek, że widocznie wszystkim powietrza brakuje. Gdyby nie ta oszczędność płótna, w kompozycji nie byłoby nic do zarzucenia, również w silnym a pełnym harmonii kolorycie, który to przymiot tak rzadko dopisuje naszym malarzom, w ogólności bardzo zimnym kolorystom. Idzie tylko o to, żeby p. Matejko nie stracił go, jak to już mieliśmy przykład na niektórych, co z razu mieli czucie kolorytu, a potem je stracili zupełnie.

Inny Krakowianin, pan Floryan Cynk, przedstawił śmierć św. Salomei w sposób poetyczny i wdzięczny, opierając się na słowach legendy, opiewającej że dwie zakonnice będące przy jej zgonie, widziały duszę z niej wychodzącą w postaci gwiazdy niesionej do nieba przez aniołów. Mistyczną stronę tej kompozycji pochwycił malarz dosć szczęśliwie, lubo zawsze ta gwiazda, wyobrażona na jakimś prześcieradku, daje powód do dwuznacznego wykładu. Daleko byłoby trafniej, jak sądzę, zrobić tę gwiazdę jakby sama unosiła się do nieba, a dwaj anieli żeby jej tehem swoim dopomagali do lotu.

P. Leopolski, uczący się teraz w Wiedniu, przysłał scenę konfederacką. Z bitwy młodzieńczej uprowadza

rannego starca, a sam trwożliwie ogląda się, jakby lękał się pogoni. Wyraz cierpienia i smutku, oraz obawy, wymownie oddany. Daleko szczęśliwiej powiodło mu się w szkicu przedstawiającym orgią zbrojnej rzeszy w jakimś kościele. Artysta ma zamiar podług tej pierwszej myśli wykonać wielką kompozycją przedstawiającą Krzyżaków biesiadujących w zamku Świecin przed bitwą grunwaldzką. W szkicu tym znamienity objawił się talent, tém więcej że nie dostaje mu ściślejszego wykończenia niektórych figur, aby był obraz skończonym.

Walery Eliaz także korzystał z podań konfederackich i wyobraził sławnego Sawę, marszałka zakroczymskiego, w ostatniej chwili przed śmiercią. Drugi, większy jego obraz, pokazuje wnętrze komnaty, gdzie zgromadzona rodzina przysłuchuje się dumkom ukraińskim grającego na teorbanie Kozaka. Twarze i postacie są charakterystyczne. Młody ten malarz widocznie robi postępy, tak w rysunku, jak w sposobie malowania. Żeby był pewnym siebie, brakuje mu dobrej szkoły. Pod biegłym mistrzem w zagraniczej akademii, prędkoby stanął na tej drodze, po której dochodzi się do celu.

O Jaroszyńskiego Kazmirzu Pułaskim, a raczej o tych koniach sprowadzanych z góry, niewiele da się dobrego powiedzieć. Młody ten malarz, przebywający w Wiedniu, nie trafił widać na kogoś, coby nim dobrze pokierował. W robotach jego coś bardzo niezdecydowanego.

P. Leopold Loeffler nie miał, jak widać, żadnej świeżej kompozycji, dlatego nadesłał dwa rodzajowe obrazki, gdzie figurują różne niemieckie postacie, w swoim rodzaju wyborne; lecz dla nas, cośmy niedawno podziwiali jego zgon Czarnieckiego, obojętnymi wydają się podobne sceny z ulicy. Piotrowski z Królewca, ten ulubieniec wystawy naszej, i w tym roku nadesłał dwa śliczne utwory: *Miłość macierzyńska* i *Szczęśliwe małżeństwo*.

So to typy naszych wieśniaków mistrzowsko pojęte. W pierwszym matka, śliczna i zdrowa Krakowianka, pieści się z dzieckiem; w drugim dziarski Krakowiak trzyma na kolanach chłopię i bawi się z niem, na który to widok rozplywa się patrząca matka. Tyle tu prawdziwego szczęścia domowego, tyle wzruszającej prostoty serca, że od tych scen nie można oderwać oczu.

W rodzaju scen ludowych są dwa obrazy Pilatego: Zabawa w karczmie i Wesele idące do kościoła. Oba bardzo dobrze malowane, pełne prawdy i życia. Pan Pilati pozedstawia wiernie, lecz nie karykaturuje, w czem ma wielką zasługę nad swoimi poprzednikami. Jednej mu rzeczy niedostaje: staranniejszego wykończenia; niech oto się postara, a kompozycje jego nabiorą wartości niepośledniej. Lisowczyk Rembrandta, skopiowany z galerii dzikowskiej przez Korasadowicza, wcale się udał. Mniej się podobał obraz: Trzej aniołowie, przez Ludwika Jabłońskiego w Warszawie. Malarz ten przejął się jakąś manierą, która go nie może do niczego doprowadzić. Wszystko tu konwencyonalne, i rysunek, i koloryt. Widać że wiele kopiował, i to podług nienajlepiej wizerunków. Również p. Świerzyńskiego obrazy święte, portrety i pejzaże nieszczęśliwie wypadły. Trzeba się uczyć, przeminał wiek złoty! Aczkolwiek zdaje się mi, że nigdy nie było wieku złotego dla podobnych malowideł. Pejzażyści nie bardzo dopisali w tym roku. Prócz Żameta widoku włoskiego na Rzym, w którym z całą poezją oddana jest ta słoneczna natura i ta przejrzysta atmosfera, w jakiej unosi się kopała św. Piotra, prócz pracowitych kilku studyów Szermentowskiego i ładnej ukraińskiej chatki nad wodą Marszewskiego, o innych krajobrazach Dębowskiego, Ruskiewicza niewiele można pochwalnego powiedzieć. Toż samo w części stosowałoby się do krajobrazu Schuppego, przedstawiającego partją Pionin z Czerwonym klasztorem, chociaż ten pejzaż o wiele tamte przewyższa. Jednakowoż, tak u tamtych jak u niego, znać że malowali z pamięci, podług ołówkowych notatek zrobionych na miejscu. Zapewne nie można każdego widoku robić w obec wzoru na który się patrzy; lecz w takim razie trzeba mieć dokładne studia tej natury którą się chce przedstawiać, inaczey zawsze to będzie utwór, jaki wszędzie i na każdym miejscu, nie ruszając się z pracowni, można wykonać, posługując się ogólną receptą na skały, drzewa, wodę, obłoki.

W widokach budynków i wnętrzów celuje p. Gryglewski z Krakowa. Jakaz to różnica patrzeć na jego sumienne prace, a na konwencyonalizm powyższe. Kościół Bożego Ciała, wnetrze Panny Maryi, mając niepoślednie zalety, lubo nie są wolne od pewnej twardości, pochodzącej z drobiazgowego wyrabiania cząstek jakie zwykle giną w perspektywie oddalenia. Można

mléć nadzieję, że malarz ten kiedyś doskonale w tym rodzaju tworzyć będzie widoki.

Akwarelle p. Karola Hoffmana, a mianowicie widok sukienic krakowskich, podobały się dla szczególnej łatwości pędzla. Mało u nas akwarelistów, którzyby mu sprosali.

O rzeźbie niewiele mam do powiedzenia.

P. Ireneusz Żalusi wystawił dwie figurki, św. Stanisława Kostkę i św. Wojciecha; zgrabnie zrobione, lecz nie mają pretensji do czegoś wyższego. Daleko bardziej zbudował nas p. Brostowski swoją kopią ołtarza Wita Stwosza, znajdującego się w kościele św. Floryana na Kleparzu. Kopia jest z drzewa i przedstawia ścięcie św. Jana. Dzieło to, bardzo starannie i dokładnie wykonane, wróży nam dobrego artystę-rzeźbiarza na drzewie. Jest także drobna bardzo rzeźba z drzewa wykonana, przez samouczka wieśniaka Michała Łobudę. Talent tak cierpliwy, gdyby się doskonalił w dobrej szkole, mógłby pomnożyć szczerą liczbę rzeźbiarzy na drzewie, na jakich bardzo nam zbywa. Lubo Tenerani nie do nas należy, jednakowoż wspomnieć wypada o pięknym biuście z białego marmuru, będącym jego dziełem. Jestto biust Zygmunta Krasieńskiego. Ci co znali wielkiego wieszczą, zapewniają że podobieństwo słabe, a wyraz taki, że niktby z popiersia nie powiedział: ten człowiek musiał być poetą.

Jeżeli pominąłem kilka jeszcze malowideł, to jedynie dlatego, że mówić o nich nie dało się na korzyść artystów, wyliczać zaś niedostatki tylko tam wypada, gdzie jest nadzieja postępu. Również pominąłem i takich, co dawniej dali się poznać z lepszej strony, a teraz nadesłali tylko małe próbki, w których nie możnaby odszukać śladów ich talentu.

Losowanie obrazów zakupionych z wystawy odbędzie się d. 6 lipca r. b. Premium jakie otrzymają akcyonaryusze na ten rok, jest Wanda Piotrowskiego, przepyszna akwatinta, którą wykonywa jeden z zaszczytnie znanych rytowników berlińskich. Wielka szkoda że u nas nie biorą się do rytownictwa, przecież byłaby to niemała korzyść, wykonywać takie roboty w kraju. Niejeden co ma umiejętność rysunku, a mało zdolności do olejnego malowania, powinienby poświęcić się rytowniczemu zawodowi, który dziś większe nawet może przynieść materialne korzyści, niż pędzel niefortunny.

Talis-qualis.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Jerzy Lubomirski, czyli wojna domowa w Polsce. Dramat historyczny we dwóch częściach z prologiem, przez Ant. Edw. Odyńca. Wilno 1861 r.

Znany nam z prologu tylko „*Jerzy Lubomirski*“ wyszedł na widok publiczny w postaci dramatu, poprzedzony przedmową określającą historyczne stanowisko autora, poparty przypisami wyjętymi z dzieł historycznych, mającymi stwierdzić zasady, jakimi kierował się autor w ocenianiu ruchu dziejowego, charakterów i porządkowaniu faktów.

Pisano dużo o samym prologu, kiedy przed rokiem wyszedł w *Piśmie Zbiorowem* wydanem przez Ohryzkę: dowód to, że przedmiot wzbudził zajęcie; doradzano autorowi, przesadzano nawet jego pracę. Dziś, kiedy do prologu przybyło pięć aktów, zdaje się że wypadałoby mówić o tym przynajmniej pięć razy więcej, bo praca taka jak oryginalny dramat historyczny, jest ważnym faktem w kółku naszych domowych umysłowych zajęć; a tymczasem i dziś jeszcze niewiele powiedzieć można, bo dramat nie jest skończony, brak mu najmniej połowy. Jednakże chociaż i teraz nie można o tym utworze wydać stanowczego sądu, to znowu sama powaga przedmiotu i pracy nie może ograniczyć się bibliograficzną wzmianką. Byłoby zapewne lepiej, gdyby autor nie dawał dzieła swego kawałkami, aby przez to nie rozpraszać wrażeń i nie zniewalać zarazem krytyki do cząstkowych sprawozdań, które tem samem tracić muszą na ścisłości i sile, ale kiedy to stało się już, trzeba uczynić co można, aby wywiązać się z krytycznego zadania w obec i dzieła i czytających.

Jeżeli gdzie, to przy takim przedmiocie jak „*Lubomirski*“ przychodzi ta ogólna uwaga, jak mało zgodną z zadaniem dramatu jest rzecz, a częstokroć niepodobną i wprost jemu przeciwną, wprowadzać doń żywcem postaci ściśle historyczne. Powiadamy nie zawsze, ale często. Człowiek bywa, ale nie zawsze jest, doskonałym i absolutnym reprezentantem idei, gdy tymczasem w dramacie idea nie może nie być doskonała i absolutnie reprezentowaną: ztąd też poeta, w wy-

branym charakterze nie mając dostatecznego materiału do takiej reprezentacji, musi go łamać, nakręcać, sztukować,—improwizuje więc i samowolnie nadrabia, tak iż stworzy co innego wcale, niż to co przedstawia imię historyczne, albo też, historyzując, wielkość pomiesza z pospolitością, rozminie się z ideałem, jakiego wymaga sztuka. Wszyscy, ale to bez wyjątku, bohaterowie *Syllera* są pseudohistoryczni; Marya Stuart za wielką, Joanna d'Arc za małą, Don Carlos spotegowany, Wallenstein pospolity. Oko olśnione talentem poety, nie czuje z razu tego braku historycznej prawdy, ale nareszcie rozum zadaje sobie pytanie, co zniewala dramat do przeistaczania historii, o ile ta wyraża się przez szczególne indywidualia? Poeta niepotrzebnie wiąże sobie ręce warunkami realności odwrotnymi zasadzie ideału; w dramacie nie chodzi o rzeczywistość osób, ale o rzeczywistość myśli, o ile ta zawiera w sobie element dramatyczny. To też wielcy mistrze, jak Szekspir i Słowacki, radzi wprowadzają osoby fantastyczne, przez które nierównie swobodniej wypowiada się dobrze zrozumiana istota rzeczy historycznej, niżeli przez pewną sumę realnych szczegółów, do rzeczywistej osoby przywiązanych.

Położenie w jakim znajdował się Jerzy Lubomirski pod koniec swego politycznego zawodu, nie jest bez żywiołu dramatycznego. Stronnictwo królewskie, z królową Maryą Ludwiką na czele, usiłuje nadwężyć jedno z kardynalnych praw a raczej przywilejów narodu, to jest chce przeprowadzić wybór nowego króla jeszcze za życia panującego, kiedy według prawa, dla uniknięcia wszelkiej nieprawej insynuacji, elekcyja tylko po śmierci panującego odbywać się mogła. Przypuścimy że ta propozycja od tronu miała na widoku nie żadną prywatę, ale dobro kraju, że nie mierzyła na obalenie zasady, ale chciała pozostać w charakterze jednorazowego wyjątku; zawsze to jednak było naruszenie, za którym mogło pójść drugie i powoli faktami dokonaniem zniweczyć zasadę. Tu więc przychodzi właśnie moment tragiczny: potrzeba albo poddać się niebezpieczeństwu nadwężenia konstytucji, albo uzbroić jedną połowę narodu przeciw drugiej, zapalić wojnę domową, to jest sprowadzić, jak naówczas, zgubę kraju; wyraźniej mówiąc, potrzeba napocząć swobody wewnętrzne, które były bożyszczem szlacheckim, lub też na zewnątrz zdać kraj na łaskę nieprzyjaciela: innego wyjścia zdaje się niema. Król wyrzekł słowo swoje, jeśli je wyrzeczcie taki drugi król jak Lubomirski, już żaden się nie cofnie: ze starcia słów takich musi uderzyć piorun i zabić kogośkolwiek. Człowiek na którego barkach takie zacięży fatum, jeśli ma być bohaterem, powinien umieć zażegnać burzę i dla pogodzenia interesów sprawiedliwości, siebie tylko przynieść w ofierze. Jest to dlań moment tragiczny, — czekamy na tragika.

Lubomirski, biorąc go w ścisłości historycznej, nie jest wcale takim bohaterem. Do roku 1660 był on tylko nieustraszonym wojownikiem i szczęśliwym wodzem: jako taki położył dla Rzeczypospolitej zasługę wyrównywając niemal Czarnieckiemu i jak on stanął w promieniach sławy przed obliczem narodu. Ale jest to sława, do której dojsć mógłby zdolny marszałek Francji; Rzeczpospolita od członka swego miała prawo wymagać nietylko prostych talentów wojskowych i obozowych zasług, ale zarazem obywatelskiej i politycznej mądrości, skoro kierunek spraw publicznych podejmowała na własną rękę. Otóż czas takiej próby przyszedł na Lubomirskiego poroku 1660, kiedy w kraju, w obec knoń gabinetowych, potrzebowano *justum ac tenacem propositi virum*. W sprawie tej ówczesną elekcyją należało jeszcze dobrze zastanowić się co było patriotyczniejszym, czy opozycja przeciw wnioskowi królewskiemu uczyniona na rzecz szlachty, czy przyłożenie się do ukroczenia przywilejów, z których szlachta, dotąd przynajmniej, z widocznym osłabieniem sił kraju korzystała. Od czasu ustępstw jagiellońskich wzrosła niezmiernie osobista godność pojedynczych członków narodu, indywidualność zaważyła tak, jak nigdzie podówczas, chyba jak w Rzymie dawnym lub dzisiejszym Stanach Zjednoczonych, a nawet więcej; coż kiedy godność ta, tyle chwalebna w zasadzie, chciała ograniczyć się na prawie bez obowiązków, wyrodziła tylko dumę i oligarchią. Nieogledność przyszła do tego stopnia, że żaden nieład wewnętrzny, żadna groźba z zewnątrz nie zdolna była wywołać zmiany, któraby miała pozór uszczuplenia czegośkolwiek z osobistych swobód dla ogólnej sprawy. Ztąd nigdy grosza w skarbie publicznym, nigdy dostatecznej siły zbrojnej do obrony granic, z obawy ażeby król jednego i drugiego na niekorzyść szlachty nie użył: zdawało się, że żywioły same i narody sąsiednie powinny mieć dla niej ten sam respekt, jaki ona ma sama dla siebie, nie czyniła nic bowiem na rzecz organizacji politycznej, na rzecz postępu, w obec

coraz silniej i groźniej występujących sąsiadów, istnie jak gdyby Polska była sama na świecie, lub leżała gdzieś na niedostępnej wyspie. Drażliwa na najmniejsze uszczuplenie swobód wewnętrznych, pozwalała zakuwać się w kajdany bisurmańskie, znosiła bez bólu odpadanie całych prowincyj, ciesząc się wolnością jakiej używa na sejmach i sejmikach; dosyć powiedzieć, że częstokroć w najkrytyczniejszych chwilach, władza królewska rozmaitemi wybiegami, prośbą i intrygą prawie zdobywać musiała zasilek pieniężny i wojsko na ratunek kraju, lub uciekać się do czyichś osobistych, pojedynczych poświęceń; co krok na to napotykały wody. Jeżeli to tak pojmowała się i praktykowała owa złota wolność, to i trudnoby tak bardzo za złe mieć komuś, coby istotnie zamierzał odegrać rolę Ryszelięgo i położyć fundament cofnienia szlachty do warunków przedjagiellońskich, które lubo mniej świetne, były jednakowoż wcale przyzwoite. Towszyscy, ludziom nie fantazyją szlachecką zapaloną, ale kierującym się zdrowym rozsądkiem i przyjętym potrzebą zapewnienia przedewszystkiem krajowi bytu politycznego, mogło dawać wiele do myślenia, w chwili kiedy chodziło o uregulowanie stosunku rządzonych do rządzących.

Trudno dziś jeszcze powiedzieć, jakie były istotne zamiary Jana Kazimierza, Maryi Ludwiki i Prazmowskiego. Miały-li one na widoku tylko intrygę familijną na rzecz księcia d'Enghien, co jest bardzo nieprawdopodobnym, albo czy sięgały do głębi potrzeb kraju, domyślać się tylko można, lubo za tem drugim przemawiają niemyślne poszlaki, a mianowicie charakter samą Maryi Luwiki, szczerze kochającej Polskę i jej naród, a bolejącej, że nie może mu zapewnić tego stanowiska państwowego, na jakie zasługuje on i jego instytucje. Ażeby mieć pewność jednak co do rzeczywistych tej sprawy pobudek, potrzebaby znać autentycznie tajemne myśli działaczy głównych, a zatem wiedzieć cały bieg działań zakulisowych, odkryć listy prywatne i instrukcje, słowem być ich świadkiem politycznej świadkiem. Dotąd źródła drukowane, prócz listów Maryi Ludwiki bezpośrednio tu nie należących, przedstawiają tę rzecz jednostronnie, i to ze stanowiska szlacheckiego, a zatem nieprzyjawnego stronnictwu królewskiemu. Zdaje się wszakże, iż sam goły fakt wyjątkowego przyspieszenia elekcyi, był zbyt małoważnym, aby mógł odrazu obudzić tak żarliwą opozycyją szlachty, jaka pokazała się zaraz na pierwszym sejmie, wówczas kiedy Lubomirski trzymał się jeszcze na ustroniu; musiała się już domyślać szlachta, lub nawet mieć pewne wskazówki, że w tém jest tylko początek działania na większą skalę. Jakkolwiek wszakże była myśl królewskiego stronnictwa, to jednak widać, że wzięcie się jego było niewczesne, nie zawsze zręczne, a postępowanie w wielu razach niegodne.

Co do Lubomirskiego, ten w sprawie tak ważnej nie jest przedewszystkiem dość czystym, nie powiadamy jeszcze, czy dość rozumnym. Dwór, przystępując do niej, przez tajemne umowy przejednał już sobie znaczną część ludzi wpływowych. Zapelnienie szlachecki pamiętnik (!) tak się o Lubomirskim w tej sprawie wyraża: „Zważała (królowa) Jerzego Lubomirskiego, że miał fortuny wielkie, rozum wielki, miłość u szlachty i u wojska; tego skolligowaniem Stanisława, syna, z krewną swoją pewną księżniczką francuzką, ułowila.“ Następnie powiada: „Lubomirski zaś oznieniem we Francji syna Stanisława zawiedziony, kazał mu ztąd powrócić i do cesarza Leopolda udać się, i o wszystkim go zawiadomić. O czém gdy cesarz wziął wiadomość, upewnił Lubomirskiego swoją protekcyją i Rzeczpospolitą assekurował przy wolnej elekcyi utrzymać, fakcyę francuzkie rujnując. Tak ubezpieczony, Lubomirski wyznaje sam na siebie ten grzech i praktykę na zgubę wolności przed szlachtą, po różnych województwach, ziemiach i powiatach. Ostrzega owych i sam wkłar kontradukuje temu; królowi i innym zapowiada, że z tego nic nie będzie... i t. d.“ W takim więc postępowaniu, którego nie ukrywa najzapalenější adherent hetmana polnego, widzimy prywatę. Pokazuje się, że gdyby małżeństwo syna jego przyszło do skutku, elekcyja przeszłaby najswobodniej pomiędzy nim a Prazmowskim: pokazuje się nadto, że zawiedziony, gdyby o własnych siłach nie zdołał zapobiedz elekcyi, sprowadziłby na kraj cudzoziemskie żołdactwo i państwu rakuzkiemu otworzył drogę do tych praktyk, jakie Zamojski z taką chwałą zamknął w zamku krasnostawskim. Takim to jest w gruncie ten bohater narodowego dramatu.

Ale zmienmy ten grunt, improwizujmy, ściesnijmy pogląd nasz do szlacheckiej lunety. Lubomirski wtedy, jako tarcza przeciw nieustannym zabiegom dworskim,

(*) Historia panowania Jana Kazimierza, przez bezimiennego.

będzie rycerzem ludowym, popularnym; ale czy obok tego będzie patriotą? Przypomnijmy sobie, że wtedy Rzeczpospolita, upokorzona i pogiębiona najfatalniejszym traktatem oliwskim, miała jedyną sposobność odżywienia się i wzmocnienia od wschodu, po świętych zwycięstwach Czarnieckiego. Tatarzy peryodycznie wysyłali gońców, ofiarując skuteczną pomoc dla zagojenia poniesionych ran; odzyskanie dawnych granic, przy jakiejś takiej jeszcze zależności kozaczyzny, w obec wojska koronnego stojącego na kresach, nie tylko nie było niepodobieństwem, ale owszem miało za sobą zupełną pewność. Był to podobno interes stokród ważniejszy, niż forma elekcyi; ale ważności tej nie uczuwało ani stronnictwo dworskie, ani Lubomirski ze szlachtą. Tatarzy niecierpliwili się, Kozacy patrzyli z której strony wiatr wieje, wojsko kresowe wołało o zaległy żołd, a w Warszawie i Częstochowie zajmowano się sukcesorem, który Bóg wie jeszcze kiedy miał na tron nastąpić. Czyż w tak ważnej a pełnej następstw chwili, taki mąż jak Lubomirski, którego głos tyle ważył w tej alternatywie, nie mógł położyć za konieczny przysługę z dworem tranzakcyi warunek, uprzednie załatwienie naddnieprzańskich spraw? Mowy nawet o tym nie było. Jeżeli więc tego nie uczynił, jeżeli obstając przy szlacheckich prawach, zniweczył uzurpacye dworskie, i za to odsądzony został od czi i na śmierć skazany, mógł jeszcze i tę poniesić dla dobra kraju ofiarę i rehabilitacją zostać czasowi, sprawiedliwości potomnej, nie zaś dobijając się o nią bratobójczą ręką; owszem z miejsca wygnania mógł jeszcze podnieść głos skuteczny, nagłąc do zajęcia się sprawą naddnieprzawą, bo stanowcza wybijała godzina. Ale Lubomirski nie pozazdrościł sławy Kamilla; to też, pomimo całej nieludzkości z jaką dwór z nim postępował, podziela on z nim odpowiedzialność za nieszczęścia kraju, a piętna bratobójstwa nic mu z czoła nie zetrze. Zwycięzca montewski, który w pień wyciął ową sławną na lądach i morzach dragonię Czarnieckiego, razem z nią zamordował cały wpływ Polski na sprawy wschodnie. Dwa lata tarzano się we krwi bratniej; przez ten czas wojsko kresowe rozlało się po kraju; zniecierpliwieni Tatarzy, widząc że Polacy, zamiast dać ucho ich projektem, biją się między sobą, — połączyli się z Kozakami, których poprzednio trzymali na wodzy, i razem z nimi uderzyli na nieszczęśliwe prowincje ruskie. Rehabilitował się wprawdzie Lubomirski w obec współczesnych, zdjęto zeń bannicyą, infamią i karę śmierci, ale wszystko to pozostaje na jego wspomnieniu.

Niema więc gruntu na którymby przy sprawie tej mógł dostać Lubomirski w czi absolutnej, chyba że damy mu fałszywe światło, korzystając ze zmroku w jakim naprzeciw niego stoi stronnictwo dworskie; i tak nawet w utworze sztuki może on w najlepszym razie wystąpić jako ofiara, ale nigdy jako dodatni bohater tragedji, chyba że tragedia będzie fantastyczną, nie zaś historyczną, a w takim razie będziemy cenić w bohaterze dowolną kreacją autora, nie zaś szukać w niej odtworzenia dziejowej postaci.

To też pan Odyniec, ażeby obudzić sympatją dla swego bohatera, nie powiada o nim całej prawdy, ale wyszukuje co tylko się da na korzyść jego powiedzieć, a na takich rysach charakterowi Lubomirskiego nie zbywa, i trzeba by niesprawiedliwym być lub niewdzięcznym, ażeby o tym zapomnieć; nieszczęście i błąd więcej niż zła wola zaćmiły koniec jego życia i zbryzgały imię: gdyby był umarł przed rokiem 1660, wieniec zasługi byłby doleżał najczystszy na jego grobie. Odyniec, chwytając się wszystkich środków rehabilitacji, patrzy nań tylko jako na ofiarę intryg dworskich; nie przestaje widzieć w nim ojca ojczyzny i obrońcy krwawo wywalczonych prerogatyw obywatelskich; pozwala mu upominać się siłą o przywrócenie czi i praw odjętych przez skorumpowany sąd sejmowy, słowem, zrzeka się sądu bezwzględego i niepodległego, i poprzestaje na stanowisku czysto szlacheckim z XVII wieku, czi wiary nie zostawiając na stronnictwie królewskim, a szczególnie na Maryi Ludwice, Prażmowski i wszystkich Francuzach. Nadto, jako stronę najkorzystniejszą, uwydatnia on wstrzeźliwość Lubomirskiego, który używał wprzód wszelkich środków pojednawczych, od osobistych prośb najpokorniejszych, aż do przyjacielskich interwencji dla odzyskania czi, nim zniewolony zaawertował uporem królewskim i ciągłym przesładowaniem, udał się do oręża; tak iż cała wina wojny domowej spada tu tylko na stronnictwo królewskie. Jest to stanowisko stronnictwa, właściwsze rotmistrzowi pancernemu z pułku Lubomirskiego, niż historycznemu pocięciu dzisiejszych czasów, gdyż lubo hetman polny miał wszelkie prawo upominać się

o legalne przywrócenie mu czi, to przecież człowiek uczciwy i obywatelski, który moralnie nigdy tej czi w obec narodu nie stracił, mógł i powinien był rzec się tego prawa, którego nie mógł wywalczyć aż tak strasznym środkiem, do gruntu burzącym Rzeczpospolitą, zwłaszcza że już rzeczy, w jego przekonaniu dla dobra ogółu najświętszej, dokonał, to jest zamiar niezwłocznej elekcyi, przez zerwanie sejmu, obalił. Skoro więc dobro ogółu zostało ocalone, jednostka, jakkolwiek wysoka, nie mogła i nie powinna była odbudowywać się kosztem tegoż ogółu, inaczej ofiara jej jest żadną: chrześcijanin nie mógł stawiać się niżej od poganina Arystydesa.

Pomimo to jednak, wybór stanowiska, choćby nawet fałszywy, jest usterkiem filozofa, ale nie może być jeszcze bezwzględny błąd poety, który na tém nawet stanowisku konwencyonalnym, może, wzorem Szyllera lub Wiktora Hugo, utworzyć dobre dzieło sztuki; zapal i natchnienie mają także swe prawa. Tem mniej p. Odyńcowi moglibyśmy o to uczynić zarzut, iż jemu w utworze tym nietyle idzie o wyraziste nakreślenie pewnych indywidualności, nietyle o psychiczny koloryt, jak raczej o ogólne uwydatnienie charakteru tej wojny domowej, która złączona jest z imieniem Lubomirskiego, i o wykazanie ze stanowiska, obyczajów jak Polska w tym nawet razie, to jest w usterkach swoich, była różną od innych społeczeństw, wyższą od nich duchem chrześcijaństwa, który nie dozwalał rozpasywać się namiętnościom i rany nawet mniej bolesnymi czynił. „Obie strony zarówno, powiada on, obok może egoistycznych widoków niektórych pojedynczych osób, w utrzymaniu każda swojej idei szukały i upatrywały przedewszystkiem dobra wspólnej ojczyzny. Obie strony wiodły tę bratobójczą wojnę ze zgrozą i żalem, bez przerwy prawie umawiając się o zgodę, i to zawsze w imię wiary i miłości braterskiej, najczęściej za pośrednictwem biskupów; z obu stron walczący nawzajem nigdy nie zapomnieli całkiem, nawet w zapale bitwy, o chrześcijańskim i obywatelskim braterstwie; aż nakoniec zwycięzki rokosz, w osobie właśnie swego dowódcy Lubomirskiego, zamiast zbierać plony tryumfu, sam dobrowolnie uniża się przed królem, i rad z zabezpieczenia publicznego prawa, sam nic więcej nie żąda dla siebie, oprócz szczerzego zapomnienia uraz i ojcowskiej łaski królewskiej. Król zaś, dręczony żalem i zgrozą sumienia, z powodu tak niewinnego krocie rozlania, dobrowolnie wnet składa koronę, często przedtem mówiąc do swoich: już więcej wolnej głowy mieć nie mogę, aż ją kapturem nakryję.“ Chlubną jest ze strony p. Odyńca pamięć na tę moralną i chrześcijańską naszego społeczeństwa stronę; jedyna też to zaleta naszej nieogłędnej i często lekkomyślnej przeszłości.

Wojna domowa, dziwny to poniekąd grunt dla wyszukiwania tej cnoty, — są przecież inne w historii naszej momenta, w których ona właściwym jasniejszym blaskiem; ale nie szkodzi pokazać, że właśnie na gruncie nawet najmniej sprzyjającym, jeszcze ją wynaleźć można. Zapewne, że Jan Kaźmirz z Lubomirskim nie po to zeszedł pod Częstochową i Montwami, aby się uściskać; ależ zawsze skończyło się na podaniu sobie skalęzonej ręki.

Nie sądźmy, aby dzieło p. Odyńca było istotnie w ścisłym znaczeniu dramatem, nie jest ono nawet dramatycznym, bo dramatyczność nie zależy na nagromadzeniu faktów mniej więcej interesujących, ale na sposobie traktowania. Jeżeli *Barbary Radziwiłłówny* nie można z wielu względów nazwać dramatem, ale raczej zbiorem scen przeważnie w epiczny sposób obrobionych, to tém mniej *Lubomirskiego*, który uboższym jeszcze jest w element psychiczny. Autor niewiele zadał sobie trudu z kompozycją, fantazyi nie nadużył wcale, za cały podkład i materyał wziął sobie bezimiennego kompilatora, historją panowania Jana Kaźmirza, wydania Raczyńskiego, idzie za nią krok w krok, w faktach, sympatjach i antypatjach, pomagając sobie tu i owdzie pamiętnikiem Paska. Ztąd powstało malownicze i zajmujące obrobienie pewnego szeregu rzeczywistych zdarzeń; nawet sceny fantazyowane są tylko mniej więcej artystyczną reprodukcją zdań, sądów lub napomknien z owych źródeł podjętych. Ażeby nie pozostawiać utworu swego w granicach czystej polityki, autor wprowadza kilka obrazków uczuciowych, i ztąd tworzy się pewnego rodzaju dramą w dramacie, ale nad wszystkiemu góruje zawsze myśl polityczna. W tém połączeniu polityki z obyczajowością, fantazyi szlacheckiej z erotycznym sentymentem, nie brak ustępów wymownych i dobrze pomyślanych, ale ogółowi zbywa na poetyczności, siła przedstawienia nie odpowiada sile elementu przedstawianego. Wojna

domowa! toż to z niej zionąć powinna zgroza i cierpienie, serce czytelnika powinno się krajać pod każdym wyrazem! Tymczasem utwór p. Odyńca daje się czytać spokojnie, spokojniej nawet niż bezimienny pierwowzór; gniewa nas wprawdzie trochę Marya Ludwika, śmieszą Francuzi, ale to wszystko w miarę; najwięcej jeszcze wrażenia poetycznego wywiera sam prolog, dzięki prawdziwie obywatelskiej postaci Czarnieckiego.

Nie wdajemy się tu w żadne historyczne, a raczej archeologiczne drobiazgi, czy to materyalne, czy moralne, bo nam nie chodzi wcale o to, na jakim kto siedział krzesle, lub czy mógł ten a ten wyraz powiedzieć, ale o istotę historycznej myśli; trzeba przecie odróżnić wykład historii od jej idealizowania. Jednakże przypatrując się głównym postaciom historycznym wprowadzonym przez p. Odyńca, spostrzegamy w nich raziącą pospolitość. W królewskiej parze na przykład niema ani jednego królewskiego cała. Niechajby sobie Marya Ludwika była jedzą, tak jak Jan Kaźmirz mężem zawojowanym, skoro tak się podobało autorowi; ale obok wszelkich wad i usterków, należało pozostawić na nich purpurowy płaszcz królewskości; tymczasem tu ze sposobu, w jaki przedstawiają się małżonkowie, trudno byłoby odgadnąć stopień hierarchii społecznej na jakim stoją, gdyby nie nagłówki i bieg interesów. Co większa, bohater główny jest tu może najmniej wydatny: w całych pięciu aktach ukazuje się dwa razy, i to na bardzo krótko. W monologu aktu drugiego przemawia pięknie, szkoda że ułudnie:

Tak! jam chciał zmusić głos dziejów i świata,
By ze czią wieków powtarzał me imię,
By rzekł: że tylko w Polsce, tylko w Rzymie
Ludzkość widziała mnie i Cyncynnat!
Nikczemne dusze! im nawet tej wiary
Pojąć nie dano, że może być przecie,
Co się dumniejszym czuć mógłby z ofiary,
Niżli z największej zdobyczy na świecie!

Ślicznie to powiedziane, i pojedynczych zdań tego rodzaju nie skąpo w utworze p. Odyńca, tylko chciałbym wiedzieć, gdzie tu jest Cyncynnat, gdzie ofiara? Czy ten, kto sam sobie satysfakcją czyni, może się nazwać ofiarą? Wiersz ten byłby wówczas prawdziwym, gdyby Lubomirski satysfakcją pozostawił dziejom i narodowi; ale wypowiedziany ze stosa braterskich trupów, jest czystą ironią.

Jeżeli postaci główne niezupełnie zadowolili nas mogą, to za to drugorzędne figury występują z nierównie lepszym powodzeniem. Cała młodzież szlachecka, jednego czy drugiego obozu, ma w sobie dosyć życia; szczególnie kobiety odznaczają się pewnym duchem obywatelstwa, tak zgodnym z prawdą, że aż wdzięczni jesteśmy p. Odyńcowi, iż nam w tak pięknej barwie przedstawił te matki, od których dzisiejsze niewiasty wcale się nie odrodziły.

Powiedzieliśmy już, że dramat ten nie przedstawia dotąd całości; kończy się on na pierwszym zwycięstwie Lubomirskiego pod Częstochową. Nie przesądzamy też tego, co będzie dalej, ale zastanawiamy się jaki będzie dla narodu pożytek z tej pracy jaka już jest, i z myśli jaka jej przewodniczyła.

Dzieło to, dalekie wprawdzie od poetycznej wielkości, technie jednak dobrimi intencjami i wywołuje z ducha przeszłości wiele sympatycznych i pożytecznych insynuacji; ale na myśl przewodniczącą z autorem nie zgadzamy się wcale, z góry powiedzieliśmy dlaczego. P. Odyniec daremnie powołuje się na zdania i przekonania historyków. Historyk czy nie, — każdy z nas jest zarówno obywatelem, każdy, o ile własnego nie zrzecze się zdania, ma prawo zastanawiać się nad cudzemu. P. Szajnocha był jednym z pierwszych, który prostując zapatrywanie się na Lubomirskiego, podjął się jego rehabilitacji, upatrywał w nim wszechstronną wielkość publicznego zawodu, łączącą w sobie i zdolność wojskową, i skończoną sławę mądrego polityka, a zarazem gorliwego patrioty, słowem wielkość wielkiego człowieka, która podniosła go do moralnej wysokości Tarnowskich i Zamojskich. Ujmować zasług Lubomirskiemu, byłoby nonsensem i niewdzięcznością; ale kogóż nie zaboli serce na podobne porównanie? Jeżeli my tak będziemy oceniali przeszłość i jej ludzi, jeśli takie wzory zalecać będziemy dzisiaj kształcącym się ludziom i takie w nich wpajając pojęcia o prawdziwej cnotie obywatelskiej i prawdziwej wielkości, jeśli ludzie najgruntowniejsi i najdoświadczniejsi będą się w ten sposób odzywać, to doprawdy rozpacz ogarnia na myśl w jakich to wyobrażeniach wychowa się nas ta nieświadomość żadna nauki i wyjaśnienia zasad obywatelskich.

Kaźmirz Kaszewski.

NOTATKI Z PODRÓŻY
PO
EUROPEJSKIEJ TURCYI.

PRZEZ
Warszawianina.

I. STAMBUŁ.

(Ciąg dalszy.)

Turcy, jak wszyscy mieszkańcy gorącego podniebia, mają religijną niejaką cześć dla wody; religijne zaś przepisy, wielokrotne obmywania każdodziennie nakazujące, tém szacowniejszym czynią dla nich ten czysty i ożywiający żywioł. To też, gdzie tylko podobna, starają się go rozlewać na wszystkie strony. W Stambule co kilkaset kroków uderza ucho plusk srebrny wody. Naturalnie nie wszystkie wodotryski są tak wystawne i ozdobne, jak te o których powyżej wspomniałem. Największa liczba fontan składa się z wysokiego na kilka łokci, w górze zaokrąglonego piaszkowca, z którego ściany płaskiej, przez miedzianą rurę ciecie woda w podstawione podobnie kamienne koryto. U wierzchu stojącego kamienia bywa zwykle napis jakiś z koranu, czasem z dodatkiem nazwiska fundatora, który wznosił to miłe Bogu dzieło. Stawianie bowiem fontan, jakoteż innych do użytku i wygody publicznej służących budowli, uważane bywa za równie zbawienny uczynek, jak wznoszenie i uposażanie świątyni. Głębokie i piękne pojęcie, którego upowszechnienia życzyłyby należało wniejednym ucwilizowanym krajul...

Woda do tych wszystkich wodotrysków sprowadzana jest licznymi wodociągami, ze źródeł położonych w górzystych lasach, po za niedalekiem miasteczkiem Belgradem. Troskliwość aby przypadkiem w źródłach wody nie zbrakło, jest tak wielką, że pod najsurowszymi karami nie wolno w lasach tych rąbać drzewa. Tym sposobem przestrzeń ich cała, parę mil kwadratowych wynosząca, przedstawia najzupełniejszy obraz dziewiczej puszczy, gdzie pokolenia drzew roszą się, rosą i gniją, zależne jedynie od wielkich praw przyrody. Widok osobliwy, u bram prawie milionowej stolicy.

Szczegółowy handel turecki, zamiast jak w Europie rozstrzelać się swobodnie gdzie mu najdogodniej, centralizuje się w pewnych przeznaczonych na to miejscach, to jest w bazarach i tak zwanych *czarszi*, co znaczy na nasze: kramy. Bazary, których w Stambule wielka znajduje się ilość po wszystkich miastach dzielnicach, różnią się między sobą wielkością, tudzież bogactwem mniejszym lub większym zawartych w nich towarów; pozór ich jednak wszędzie tenże sam, wszędzie także same ciężko sklepione korytarze, otoczone z obu stron szeroko otwartymi sklepami, w których porozkładane, porozwieszane towary, na pierwszy rzut oka mówią ci czego gdzie masz szukać.

Najwspanialszym z tych przybytków wschodniego handlu jest wielki bazar, w bliskości seraju, Bezesan zwany. Jest to prawdziwe małe miasteczko, z licznych podłużnych i poprzecznych korytarzy złożone, gdzie dostać można wszystkiego do potrzeb, wygod lub zbytku podług wyobrażeń miejscowych służącego, począwszy od najdroższych klejnotów, do prostego glinianego garnka. Najbardziej pociągają oko, tak bogactwem materiału, jak i oryginalnością form, wyroby złotnicze, jubilerskie i owęj na świat sławnej tureckiej broni; największą zaś liczbę sklepów zajmują jedwabne i wełniane tkaniny, tytuń, z wszystkimi przyborami swemii, jako to: cybuchy, lulki, nargile, kapiuchy, wreszcie wyroby rymarskie i szewskie. Wiele ze sklepów jest zarazem warsztatami, gdzie właściciel, sam lub z pomocnikami swemii, pracuje w najlepsze w obec publiczności, od czasu do czasu spoglądając tylko, dla spocznienia, po ruchliwych gromadach po bazarze się snujących.

W sklepach gdzie się odbywa sama tylko sprzedaż towarów, po kilku dniach pobytu w Stambule, od razu rozpoznasz kupca Turka od innych, to jest Ormian i Greków, którzy tu również handlują. Podczas gdy ci ostatni, stojąc lub siedząc przed swym sklepem, śledzą cię biegającym okiem, a jeśli zatrzymasz się przy nich, nie wytrzymają żeby się nie odezwać z zachwaleniem swego towaru, poważny Turek, kurząc w milczeniu swą fajkę lub nargile, spogląda przed się z tym wyrazem obojętnego spokoju, na jaki najojętniejszy Europejczyk nigdy w życiu się nie zdobydzie. Jeśli go spytasz czy ma to lub owo, odpowie ci

niemem podniesieniem w górę głowy, co tutaj znaczy przeczenie, albo jednogłoskowym *war*, jest, i rozkłada milcząc towar przed tobą. Na zapytanie powiada ci cenę. Jeżeli znajdziesz ją za wysoką, opuszcza cokolwiek niżej, albo odpowiada że opuścić nie może. Wdajesz się w dalszy targ, on milczy, albo też najspokojniej wskazuje ci poblizki sklep z tymże samym towarem, mówiąc że tam go może taniej dostaniesz. Jest coś zadziwiającego i wzbudzającego szacunek w tej obojętności na zysk, tak mało z naturą kupiectwa zgodnej. Do wyrobienia jej w Turkach niemniej zapewne przyłożyło się uczucie dumy panującej w podbitym kraju rasy, jak fatalistyczne zdanie się na wolę niezmienną Opatrzności, z dogmatów ich wiary wpływające.

Czarszi, które, jak już napomknąłem, w tym zostają do bazarów stosunku, co u nas kramy do sklepów, są to ulice kramami zabudowane z stron obu, w górze wspartym na lekkich słupkach goncianym dachem lub rozpiętym na drewnianych łąkach dzięki winem od skwaru osłonięne. Obok wiktuałów i tym podobnych potrzeb codziennego życia, mieszczą się w nich jedynie podrzędnej wartości, dla ubożego ludu dostępne towary.

Przechodząc około meczetu Zofii, uderzają oko mury ogromnego, w europejskim stylu wzniesionego, ale niedokończonego gmachu. Miał to być uniwersytet turecki, nakształt Collège de France w Paryżu, i służyć za dowód, że oświata zachodnia na piękne rozwija się nad Bosforem. Coraz większe kłopoty finansowe wstrzymały doprowadzenie do celu tej myśli, czego, patrząc na rozwój innych podobnych, od kilkunastu lat istniejących już instytucyj, zaiste trudno i żalować. Zmarły sułtan Mahmud i panujący obecnie syn jego, natworzyli znaczną liczbę zakładów, przez które wykształcenie europejskie miało się rozlać na Turcyę. Są szkoły medycyny, normalna, artylerji i inżynierji, rolnictwa, weterynaryi, marynarki.... Uczą w nich sami niemal europejscy profesorowie; w skutek jednak po części lichego ich doboru, po części braku zapłału w uczniach, wszystko to więcej kosztuje pieniędzy i przynosi sławy na zewnątrz, niżli pożytku na wewnątrz. Szkołę medycyny założył jeszcze nieboszczyk sułtan, a jednak dotąd nietylko Turcyę, ale sam Stambule, jest polem swobodnym dla praktyki wszystkich szarlatanów i niedouczków zagranicznych, którymby gdzieindziej wahało się powierzyć w kuracyę zadraśnięty palec. O rolnikach i weterynarzach wykształconych także nic nie słychać. Jedyny pożytek jakkolwiek przynoszą państwu wojskowe szkoły, które też głównej pieczołowitości rządu są celem.

O różnych gmachach wojskowych, jak koszary, arsenaly, warsztaty, niema co powiadać. Jakkolwiek w różnych stawianych epokach, zostały one w najwspanialszych czasach pourządzane na zupełnie europejski sposób i żadnych osobliwych nie przedstawiają właściwości. Za to ministerjum wojny, *Seraskier-Kapu*, nie tknięte żadną reformą, przetrwało dotąd w dawniejszej oryginalności swojej.

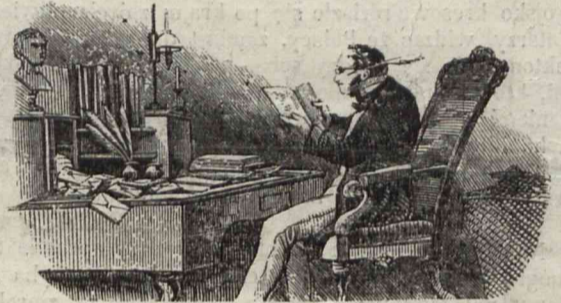
Zajmuje ono ogromny obszar ziemi w bliskości meczetu Achmeta, a jego wysoka, dziwaczego stylu wieża panuje nad całym Stambulem. Oprócz głównego pałacu i przytykających do niego oficyn, pełno tu różnego rodzaju domów, domków, koszar i obszer-nych dziedzińców, a wszystko dokoła wysokim opasane murem, z główną, wspaniałą bramą, na plac meczetu zwróconą.

Zachodząc do seraskieratu, na dziedzińcu jego miałem po raz pierwszy sposobność zobaczyć w znaczniejszych oddziałach żołnierzy tureckich i egipskich, których dotąd tylko pojedynczo spotykałem. Oba te wojska ubranie są zupełnie po europejsku, w mundurach granatowych z czerwonem, w takichże spodniach i białych lub czarnych pasach. Jedynie czerwone fezy, kaszkiety i czapki zastępujące, przypominają że to muzułmanie. Fezy te, które u Turków są niskie i tylko żółtą blaszką (*tepelik*) wielkości pięciocentówki, na wierzchu przyszyta, od cywilnych się różnią, a Egipcyan są bez porównania większe, zamasztyte i na przodzie ozdobione wielką blaszaną armaturą. Ale oprócz tego rozróżnienia, obie armie przedstawiają uderzająco inne, istotniejsze różnice. Błyszczące żywo oczy i ciemna arabska pleć Egipcyan, marsowo odbijają od obojętnego spojrzenia i jaśniejszej pleci Turków; co zaś ważniejsza, podczas gdy ci ostatni, w skutek nabrańczego z młodu w wygodnych kaptanach przyzwyczajeni, trzymają ramiona i plecy nieco pochyło, Egipcyanie marszerują tak prosto, jak gdyby odbywali parady na saskim placu. Mały to na pozór, ale w rzeczy ogromny dowód żelaznej energii Mehmeda-Ali i jego następców. Wyprostować plecy

swych poddanych, to jest przywieść ich do odwyknięcia od wygodnych przywyknień i do ciągłego zmuszenia wysilenia, oto jest najcięższe, a razem najżywniejsze dzisiejszych władców muzułmańskich zadanie. Wszystkie inne reformy, bez tej radykalnej, na nie się nie zdały i nie zbiawią od upadku państwa Osmanów.

W seraskieracie także nauczyłem się podziwiać biurowy porządek Turków, na który, nie przywyklszy, bez zdumienia patrzeć niepodobna. W salce, zasłanej matami i otoczonej niziutkimi a szerokimi sofami, na sofach tych siedzą z podłożonemi pod się nogami pisarze, mając obok siebie, w niewielkich szkatułkach, utensylia kancelaryjne: papier, kałamarz, piasek różnobarwny, nożyczki i trzciniowe pióra. Jedni z nich piją kawę i palą fajki, przez służebnych podawane chłopaków, inni na podłużnych półarkuszach, zgiętych przez pół i na kolanach opartych, piszą w milczeniu, od czasu do czasu zacierając mokrym palcem błąd jakiś.

Na takich swistkach spisują się tu wszystkie akta; naturalnie więc urządzenie z nich archiwów na nasz sposób byłoby niepodobnym. Ale też Turcy mają na to swój własny, z koczowniczej jeszcze przeszłości odziedziczony zwyczaj, którego się dotąd pilnują. Akta zawiązują się w worki właściwemi opatrzone znakami, i tak zawieszają na sznurach w archiwum. Ma to swoją dobrą stronę, bo myśli do papierów dostać się nie mogą; ale za to, dla znalezienia jednego swistka, trzeba wytrząsać na podłogę wór cały i przerzucać stosy pism różnych. Praca zaiste, któraby urząd archiwisty czyniła niesłychanie ciężkim, gdyby zupełności akt przestrzegano z europejską skrupulatnością. Szczęściem Turcy wyrozumieli się od nas, i jeśli jaki akt się znaleźć nie da, urzędnik odpowiada najspokojniej, że zginął. Odpowiedź tak naturalna wystarcza zupełnie dla prawowiernego muzułmanina, który nie może wydziwić się interesowanemu Europejczykowi, gdy ten tak prostej rzeczy pojąć nie chce i gwałtem zgubionego domaga się pisma. Takto, co kraj, to obyczaj....
(Dalszy ciąg nast.)



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zarezerwowaniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Od Ksawerego i Karoliny W. z Witebska otrzymaliśmy r. 5, na rzecz kościoła pp. Maryawitek w Częstochowie.

Panu L. S. w Oporowie. Rysunek kościoła oporowskiego zanadto jest niedokładny, abyśmy z niego zrobić mogli użitek. Nie wypada nam także powtarzać opisów gdzieindziej już drukowanych. Zajmujące bardzo są szczegóły dotyczące żywota błogosławionego Stanisława Oporowskiego, a szczególnie przeliczna pieśń wypisana z książki miejscowej. Jeżeli jest możliwość dostania dobrej kopii odręcznej lub fotograficznej wizerunku błogosł. Stanisława, prosilibyśmy o nią. Podobnież zamawiamy sobie przyrzeczony opis i rysunek zamku, jeżeli z nim wiąże się ważniejsze jakie wspomnienia historyczne.

Autorowi nadesłanych bezimiennie aż czterech plodów rytmowanych. Słusznie pan, podpisując się: „Młody kandydat do autorstwa,“ położyłeś przy tych wyrazach znak zapytania. Być może zresztą, iż w innym przedmiocie dozwolą kiedyś losy nieznajomemu wierszopisowi zostać autorem (!!!); ale ze zdroju Hipokreny wątpimy by kiedykolwiek czerpać mu sądzono.

Panu J. L. w Warszawie. Udzielony nam rękopis zawiera w sobie wiele uwag trafnych i rad praktycznych; pominawszy jednak niektóre zbyt jaskrawe ustępy, wątpimy nadto aby rzecz cała dla ogółu czytelników mogła być zajmującą.

Panu J. Lompie w Woźnikach. Z życiorysu Rendsmida zrobimy przy sposobności użitek, podając go w przerobieniu. Dołączenie wizerunku nie uważamy za właściwe.

Panu B. K. ze Śmiły. Odpowiedź na zapytanie pańskie znajduje się w Nrze 95 Tygodnika Ilustrowanego.